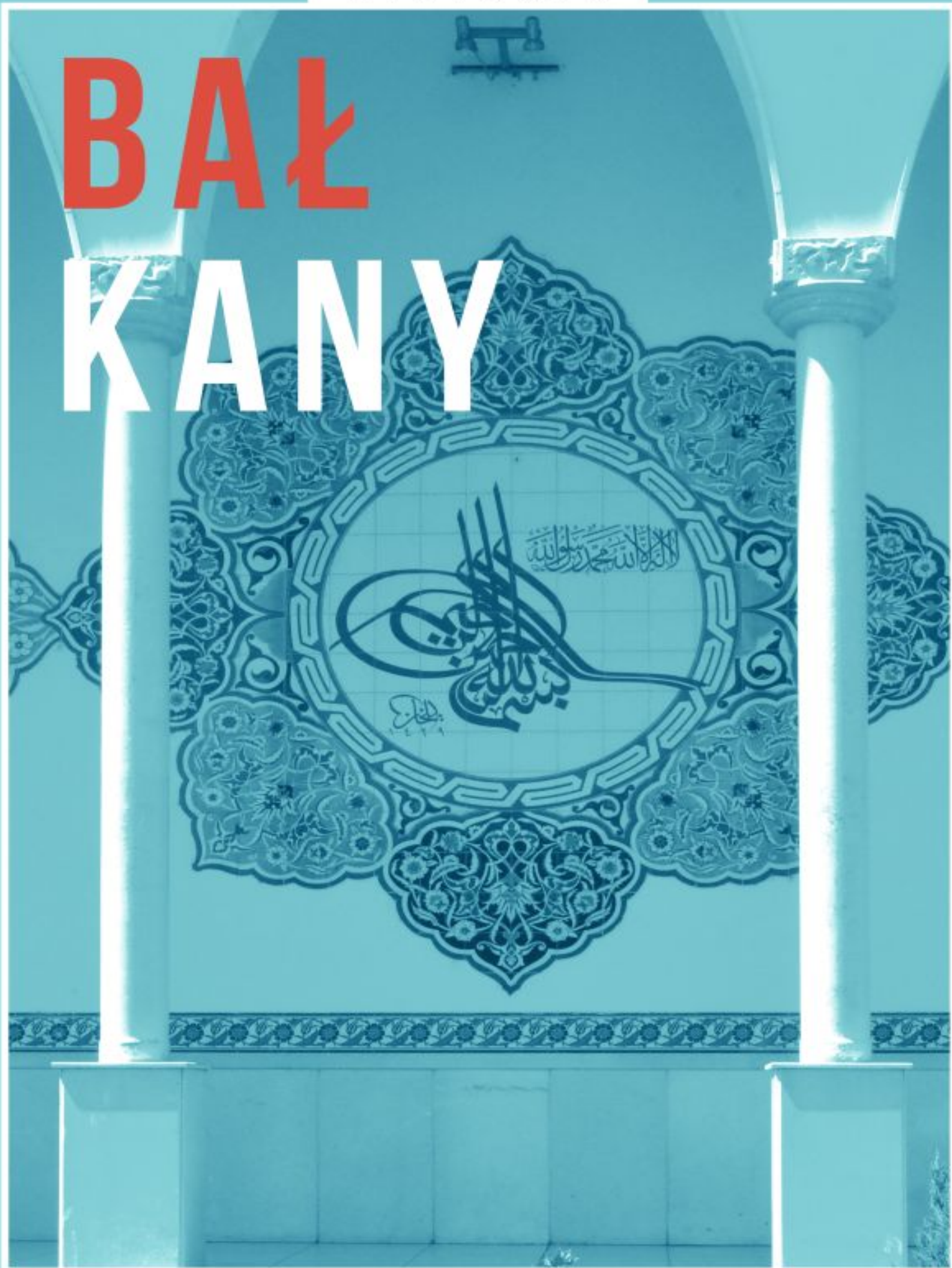


MINIBOOK

BAL KANY



Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Bałkany

ZNAK
M I E S I Ę C Z N I K

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink
woblink.com

Spis treści

- Stefan Wilkanowicz - Bałkańskie medytacje
- Konstanty Gebert - Brak tylko słowa „wybaczcie”
- Marzenia o „Wielkiej Bałkanii”. Dyskusja z udziałem Moniki Izydorczyk i Wojciecha Stanisławskiego

Balkany

Wojna domowa, która wybuchła w 1991 roku w byłej Jugosławii bezbłędnie wpisuje się w formułę tragedii. To nie był, wbrew niektórym przekazom medialnym, obraz czarno-biały i uproszczony. Po wszystkich stronach frontu były ofiary i byli oprawcy, byli ludzie szlachetni i podli, dobrzy i źli i każda ze stron miała jakieś swoje racje. Od zakończenia wojny w Bośni i Hercegowinie mija 19 lat, od tej w Kosowie 15. To zbyt krótki czas, by mówić optymistycznie o definitywnym zamknięciu rozdziału wojny i nienawiści.

Trzy teksty na różny sposób podejmują ten temat. Redaktor Stefan Wilkanowicz, który w 1993 r. pojechał z konwojem humanitarnym opisuje z niezwykłą empatią dramat wszystkich bohaterów wojny, starając się wytłumaczyć to zawiłą historią tych ziem, pełną okrucieństwa, przemocy i zmienianych granic. Ciekawą debatę o niepodległości Kosowa przeprowadził w 2008 r. z Wojciechem Stanisławskim i Moniką Izydorczyk Jan Piekło. Znamy ciąg dalszy – casus Kosowa, który cynicznie wykorzystwała Rosja w przypadku Gruzji i Ukrainy. I wreszcie tekst sprzed dwóch lat Konstantego Geberta to pytanie o przyszłość, czy uda się doprowadzić do pojednania między narodami byłej Jugosławii? Nie jest to niemożliwe, ale konieczny będzie rachunek sumienia uczyniony przez wszystkie strony konfliktu, czyli coś czego zabrakło w titowskiej Jugosławii. Tylko dzięki mądrze i uczciwie prowadzonemu dialogowi możliwe będzie dalsze pokojowe współistnienie. I przede wszystkim na przynajmniej zredukowanie spirali nienawiści. Warto przeczytać te teksty,

mając dzisiejszą wiedzę na temat tego, co w ostatnich latach działo się na Bałkanach. Bo historia dopisała do nich *post scriptum*.

Dominika Ćosić

Życzymy inspirującej lektury!

Redakcja miesięcznika "Znak"

Ps. Wszystkim autorom i spadkobiercom praw autorskich serdecznie dziękujemy za udostępnienie tekstów do minibooków. Jednocześnie informujemy, że dołożyliśmy wszelkich starań, by odnaleźć ich spadkobierców i właścicieli. Przychody ze sprzedaży minibooków nieposiadających ambicji komercyjnych, zostaną przeznaczone na kontynuowanie działalności miesięcznika „Znak”.

Balkańskie medytacje

Stefan Wilkanowicz

Jechałem konwojem humanitarnej pomocy do Skopje wraz z gronem dziennikarzy zainteresowanych sytuacją w krajach byłej Jugosławii, a w szczególności ludźmi tam żyjącymi, tam prześladowanymi i tam zabijanymi. Niektórzy z nas (dziennikarzy) już tam bywali i dużo wiedzieli. W drodze czytałem historię Jugosławii i słuchałem rozmów, pytając o to i owo. Teoretycznie wiedziałem, jak złożona to sytuacja, ale jej złożoność rosła z godziny na godzinę – i pod wpływem lektury, i rozmów, i przeżywanych wydarzeń. Program podróży także często się zmieniał. Zasadniczym celem było dowieszenie pomocy w postaci leków i żywności do stolicy Kosowa, Pristiny, a jednocześnie odbycie tam spotkania (w liczniejszym, kilkudziesięcioosobowym, francusko-polskim gronie), które mogłoby zwrócić uwagę opinii światowej na ten rejon, zagrożony wybuchem walk. Wydawało się, że może dałoby się im w jakiś sposób zapobiec.

Ale wjazd do Kosowa okazał się niemożliwy. Konwój (a ściśle biorąc dwa konwoje – z Francji i z Polski) organizowany był przez Entreprise EquiLibre (Francja) i Fundację EquiLibre (Polska). Francuscy przedstawiciele EquiLibre byli już od pewnego czasu w Pristinie i przygotowywali przyjazd. Dary miały być rozprowadzone poprzez punkty dystrybucji prowadzone przez Zgromadzenie Matki Teresy z Kalkuty. Ale dwóch z nich zostało najpierw aresztowanych a po tygodniu wysiedlonych, trzeci zmuszony był do wyjazdu. Prawdopodobnie był to rewanż za niepoważną deklarację ministra Rolanda Dumas, który zapowiedział, że

Francja jest gotowa do interwencji w Bośni nawet samotnie, bez innych sojuszników. Spowodowało to wprowadzenie wiz dla Francuzów, zaś przedstawiciele EquiLibre ich nie mieli, ponieważ przyjechali do Kosowa przed wprowadzeniem tego obowiązku, a zatem można ich było aresztować za nielegalne przybywanie na terenie Jugosławii. Ponadto jechaliśmy zaraz po wprowadzeniu zaostrzonych sankcji wobec tego kraju, co spowodowało nowe trudności z przekraczaniem granicy. Niemal w ostatniej chwili zdecydowano więc skierować konwój do Macedonii i odbyć spotkanie w Skopje. Ale trzeba było jechać okreśłą drogą, przez Rumunię i Bułgarię. Konwój francuski dopłynął z Włoch promem do Grecji i stamtąd miał wjechać do Macedonii.

Nasza droga wydłużyła się, a ponadto granice między Węgrami i Rumunią oraz Rumunią i Bułgarią okazały się zapchane. Policja węgierska bardzo sprawnie doprowadziła nas do granicy omijając wielokilometrową kolejkę, ale na następnej było dużo gorzej, już takiej opieki nie mieliśmy, a ponadto trzeba się było przeprawiać promem, co bardzo wydłużało oczekiwanie. Jakoś się jednak dostaliśmy do przystani omijając główną kolejkę, ale tam nastąpił może najbardziej niebezpieczny moment podróży: kierowcy z tej ostatniej usiłowali pobić naszych. Udało się tego uniknąć zjeżdżając na bok i czekając na okazję do „skoku”, która nadarzyła się po kilku godzinach.

Naszym dziennikarskim mikrobusem mieliśmy dojechać na lotnisko w Sofii, aby zabrać do Skopje kilku uczestników spotkania, którzy dolecieli samolotem z Warszawy. Ale samochód nam się psuł i spóźniliśmy się o pół dnia. Szczęśliwie nasza ambasada uratowała sytuację podstawiając swój samochód i przewożąc ich do Skopje. Francuzom też nie było łatwo, ponieważ na granicy okazało się, że transport jest adresowany na Macedonię, a takiego kraju Grecja nie uznaje – Macedonia przecież leży w

Grecji. Przepuszczono więc tylko autokary, a targi o ciężarówce trwały trzy dni.

W tych warunkach nie było już mowy o spotkaniu i jakichś naradach czy deklaracjach. O kłopotach z odprawą celną i rozprowadzaniem pomocy nie wspominam, ani także o beznadziejnych próbach zorientowania się, czy można wracać przez Jugosławię i czym to ewentualnie grozi.

Te dzisiejsze komplikacje nie wynikają jedynie z obecnej wojny, u ich źródła jest także, a może nawet przede wszystkim – historia. Jakaż ona jest?

Są to dzieje niemal bezustannych walk, przesuwania granic, wędrówek i masowych ucieczek, przemieszczania ludów o różnym pochodzeniu i niejasnych podziałach językowych, zapóźnienia gospodarczego i społecznego, wynikłego w znacznej mierze z długiej tureckiej okupacji, bezlitosnej rywalizacji pomiędzy Turcją, Rosją, Austrią, Węgrami i Włochami, podziałów religijnych przeplecionych z etnicznymi, kulturowymi i politycznymi.

Dzieje fatalizmu wrogości i cierpień.

Po okupionym drogo wyzwoleniu z tureckiej niewoli Serbowie utworzyli państwo wolnych chłopów. Nareszcie! Ale na jego czele stanął książę Miłosz Obrenowicz, „sam analfabeta, wywodzący się bezpośrednio z warstwy chłopskiej. Oczywiście rządził absolutnie, według znanych sobie wzorców tureckich. Okrutny w stosunku do przeciwników, despota i zdzierca w stosunku do podwładnych, gromadzący w swych rękach monopol handlu solą i bydłem, wkrótce najbogatszy człowiek na Bałkanach... Rozpędził Narodową Kancelarię, która miała być przy nim czynnikiem doradczym, a jej członków bądź też osobistych wrogów wymordował. Sam ustanowił się najwyższym sędzią w kraju i osobiście ferował wyroki śmierci, bynajmniej nie w mniejszej ilości, niż to uprzednio czynili Turcy” – pisze Wacław Felczak w *Historii Jugosławii*.

A w czasie I Wojny Światowej: „W czasie mroźnej zimy i śnieżnej zawieruchy armia serbska przedzierała się przez dzikie, niedostępne góry albańskie, nie rozbita przez przyjaciela, ale zdziesiątkowana chorobami, głodem i zimnem. Wraz z nią opuszczał Serbię cały świat polityczny i intelektualny kraju... Za armią wlokła się 200–tysięczna rzesza ludności cywilnej, kobiety, dzieci, z całym dobytkiem i żywym inwentarzem. Wszystko to dziesiątkowały choroby, głód i dokuczliwe zimno. Ciężko chorego króla Piotra nieśli na noszach żołnierze, płachtami osłaniali kobiety i dzieci przed mroźnym wiatrem. Około 15 tysięcy dzieci zginęło wówczas w górach albańskich. Tragiczny *exodus* przypomniał niejedną podobną kartę w dziejach tego narodu, kiedy podczas najazdów tureckich przemieszczały się dziesiątki tysięcy rodzin z całym swoim mieniem i dobytkiem.”

Z 400–tysięcznej armii serbskiej ocalało niespełna 100 tysięcy. Oblicza się, że około 140 tysięcy osób cywilnych zginęło w czasie tej przeprawy. A tymczasem w Serbii rozpoczęły się prześladowania, cały kraj poddany został terrorowi, około 150 tysięcy osób znalazło się w więzieniach i specjalnie utworzonych obozach . W czasie tej wojny zginęły prawie dwa miliony Jugosłowian. Serbia zmobilizowała do walki ponad 700 tysięcy ludzi (40% wszystkich mężczyzn), ponad połowa zginęła. W obozach, powstaniach i walkach – dalszych 600 tysięcy.

Po wojnie, w chwili powstania państwa jugosłowiańskiego, ponad połowa jego mieszkańców nie umiała czytać ani pisać. W Macedonii, Bośni i Hercegowinie analfabetów było ponad 80%. Według prawa serbskiego kobieta była własnością mężczyzny i zobowiązana była do posłuszeństwa. Za nieposłuszeństwo mąż miał prawo posłać ją do aresztu na 10 dni. Dzieci płci męskiej miały pierwszeństwo w dziedziczeniu spadku. W całym kraju w przemyśle i górnictwie było zatrudnionych niespełna 10% ludności.

Państwo to powstało jako Królestwo Serbów, Chorwatów i Słoweńców. Ale kiedy władzę objął król Aleksander, sytuacja się zmieniła. Był to bowiem „główny przedstawiciel orientacji wielkoserbskiej, przeciwnik federalizmu i zwolennik rządów autokratycznych, opierał swoją władzę przede wszystkim na armii i kamaryli dworskiej, złożonej z oddanych mu polityków, wyższych dostojników armii i tajnej policji” – pisze profesor Felczak.

Król wziął kurs na centralizm, parlament się kłócił, rządy powstawały i upadały, coraz słabsze. 20 czerwca 1928 roku, poseł Puniša Račić, związany z kołami dworskimi, oddał w czasie sesji kilka strzałów do posłów z Chorwackiej Partii Chłopskiej, raniąc ciężko kilku z nich. Jej przywódca zmarł w szpitalu. 6 stycznia 1929 roku król dokonał zamachu stanu i rozpoczął rządy dyktatorskie. Rozpoczęła się więc walka z tą dyktaturą, głównie w Chorwacji i Macedonii. Jednym z jej przywódców był Ante Pavelić, skrajny chorwacki nacjonalista, późniejszy szef związanego z Hitlerem państwa chorwackiego, z którym Serbom, Żydom, Cyganom i psom wstęp do zagrzebskich parków, restauracji i publicznych środków lokomocji był wzbroniony. 9 października 1934 roku król został zamordowany. Pavelić był jednym z organizatorów zamachu. Kraj wszedł w okres, który Felczak nazywa kryptodyktaturą.

W czasie II Wojny Światowej Jugosławia straciła 10,8% ludności, 36,5% zakładów przemysłowych, 52% linii kolejowych i 21% budynków mieszkalnych. Walki partyzanckie przekształciły się w regularną, wyniszczającą wojnę. Z rąk ustaszów Pavelicia zginęło paręset (kilkaset?) tysięcy Serbów. Oddziały wierne Tito zlikwidowały partyzantów Mihailovicia, także walczących z Niemcami.

Projekt nowego jugosłowiańskiego państwa miał duże zalety: nawiązując do federalistycznych tradycji i opierając się na dużym autorytecie Tity i sile

jego partii mógł pokusić się o przewyżczenie (stopniowe, stopniowe...) narodowych antagonizmów, zaś opowiadając się za socjalizmem względnie liberalnym i otwartym na zagraniczne kontakty – doprowadzić do gospodarczego rozwoju. Ten ostatni częściowo się udał, ale nie na długo. Wszystko się znowu zawaliło. Dlaczego? Bo była to jednak policyjna dyktatura, tylko że bardzo zręcznie zakamuflowana. W Jugosławii nie było cenzury i wolno było zakładać pisma i wydawnictwa, jakie się chciało. Ale za jedno zdanie, które jakąś władzę uraziło, można było pójść na parę czy kilka lat do więzienia, w całym majestacie prawa odpowiednio skonstruowanego. W przedsiębiorstwach działał sławny samorząd, ale cóż on był wart, kiedy wszyscy bali się narazić władzy? Jakie tu mogło być pole dla inicjatywy? Jugosłowianie masowo wyjeżdżali na „saksy”, ale zakładnicy (rodzina) na ogół pozostawali w kraju. Sądy legalnie skazywały, ale równocześnie podobno nierzadko ludzie po prostu ginęli i wszelkie ślady po nich się urywały.

Próba zbudowania jugosłowiańskiego patriotyzmu dała w tych warunkach dziwne efekty: Serbowie SA przekonani, że Tito, Chorwat, ich prześladował, zaś wszystkie inne narody mają wątpliwości, że Federacja była rządzona przez Serbów. Chociaż trzeba także przyznać, że istnieje sporo ludzi, którzy nie przyjmują do wiadomości nowego narodowo-państwowego podziału i nie umieją się określić w nowej rzeczywistości. Serbowie w szeregach chorwackich lub muzułmańskich. Chorwaci w serbskich itd., a także dezenterzy z wszystkich armii i paramilitarnych oddziałów.

W Skopje oglądamy cygańską dzielnicę, a wieczorem jedziemy do ośrodka dla uchodźców. Cygańskie osiedle przypomina brazylijskie *favele*. Tylko, że tej zimy bywało 20 stopni mrozu. Teraz to bieda normalna, która nie chce być fotografowana. Smutni i zażenowani opuszczamy osiedle. Obóz dla

uchodźców to jakby inny świat – dawny ośrodek wypoczynkowy dużego przedsiębiorstwa, pięknie położony w lesie, na wzgórzu. Obecnie pod zarządem Czerwonego Krzyża. Jego kierownikiem jest inżynier oddelegowany przez owo przedsiębiorstwo, który szczerze – jak się wydaje – przejął się nową rolą. Ma tu 130 uchodźców, prawie wyłącznie muzułmanów. Poprzednio byli w obozach w Serbii. Nie traktowano ich źle, tylko usilnie skłaniano do wyjazdu. Macedonia ofiarował im gościnę, ale już ich jest za dużo. Początkowo przyjmowały liczne rodziny, dziś ludzie nie mają pieniędzy i chętnie ich odsyłają do ośrodków. Co z nimi dalej będzie? Powrócić nie mogą i zapewne nie będą mogli nawet po zakończeniu walk. Osiedlić się w Macedonii też nie mogą, kraj ma coraz mniej pieniędzy na ich utrzymanie, bezrobocie rośnie. Warunki życia mają dziś dużo lepsze niż Cyganie w swoim osiedlu. Tylko żadnej przyszłości. Jeśli jeszcze pozostaną w tym ośrodku przez parę lat, to już się nie będą nadawali do normalnego życia. Ani oni, ani ich dzieci.

Kierownik jest tym szczerze przejęty. Czuje się to we wszystkim, co mówi, w jego wyrazie twarzy. Czuje się także jego bezradność. On dużo wie o tym, co przeszli, i zupełnie nie widzi przyszłości. Ani nie rozumie, jak do tego doszło. Zapytany o przyczyny tej wojny odpowiada, że to zmowa wielkich mocarstw, które chciały zdestabilizować Jugosławię... i że przyczyny ich działań były religijne...

Zaskoczony tym nowym przypadkiem spiskowej teorii dziejów, nie zadaje dalszych pytań. Zresztą czas już kończyć wizytę. Zaczynam intensywnie myśleć, próbując zrozumieć mego rozmówcę. Dlaczego wielkie mocarstwa religijne motywowane, a nie Żydzi i masoni? Czy lokalna specyfika, czy szczególny przypadek? Dlaczego ten mądry, wrażliwy człowiek, o szerokich horyzontach, tak nagle wpadł w nonsens? Przypominam sobie różne szczegóły jego wypowiedzi i coś mi się zaczyna rysować. Chyba

uwierzył on w możliwość stworzenia nowego człowieka i nowego społeczeństwa, a potem został brutalnie zaskoczony wojenną rzeczywistością i przerażony, przestał rozumieć. Nie rozumie tego, co wydaje się dla mnie banałem – że przejście od komunizmu do nacjonalizmu jest naturalne, przecież to dziś niemal reguła. Nie rozumie albo nie może zaakceptować – to prawdziwe trzęsienie ziemi, zbyt wielkie wewnętrzne rozdarcie.

Do Kosowa jednak dojechaliśmy, w drodze powrotnej, ale tylko kilku dziennikarzy i na niespełna dzień. Większość tego czasu zajęły nam czarujące rozmowy w Sekretariacie Informacji i dużo mniej przyjemne na policji. Ale dobra psu i mucha. To było też bardzo pouczające. Jest to kraj, który trochę przypomina Polskę z okresu stanu wojennego. Bo i tam też jest stan wojenny czy też wyjątkowy, lokalne władze zdelegalizowane, społeczeństwo bojkotuje narzucone. Albańczycy (zapewne ok. 80% mieszkańców) nie stawiają się do spisów ludności i nie biorą udziału w wyborach. Całe szkolnictwo istnieje w drugim obiegu (bo oficjalnie zostało zawieszone), oczywiście trudno wiedzieć, jaką ilość dzieci i młodzieży obejmuje.

Albańczycy do wojska nie stawiają się, ale ich czasem łapią. Nie jest jasne, co się z nimi dalej dzieje. Według jednych Ida na front do Bośni, według innych do specjalnych oddziałów, które wykonują ciężkie roboty. Już od pewnego czasu są masowo zwalniani z pracy, teraz im się nieraz wprost mówi, że kara za sankcje ONZ. Oczywiście przemycają i handlują, pomaga im dość liczna emigracja z Ameryki i innych krajów. Ale to rozwiązanie nie na długo. Emigrują. A równocześnie przyjeżdżają do Kosowa uchodźcy serbscy z innych terenów nowej Jugosławii. Miejscowi Serbowie też się boją i po cichu przenoszą się do bezpieczniejszych rejonów.

Jest to kraj sprzeczności idei i interesów oraz chwiejnej równowagi strachu. Serbów jest tam pewnie z 10%, zatem muszą się bać, nie tylko swoich sąsiadów jako takich, ale może przede wszystkim jako związanych ze światowym islamem. Przecież Albania przystąpiła do islamskiej międzynarodówki, a w Bośni walczą też ochotnicy z różnych krajów muzułmańskich. Serbowie mówią (i zapewne są o tym przekonani), że rozwija się wielka antyeuropejska ofensywa muzułmańskich fundamentalistów i że oni, Serbowie, są przedmurzem chrześcijaństwa. Głupia Europa tego zupełnie nie rozumie. Są przekonani, że miejscowi Albańczycy chcą się zjednoczyć z Albanią, a potem ofensywa pójdzie dalej. Czują się głęboko pokrzywdzeni, nie zrozumiani. A Kosowa nie mogą opuścić, bo to przecież kolebka ich kultury i państwa (Kosowe Pole!). To byłoby jakieś zaprzeczenie ich tożsamości. Stąd uchodźców osadzają głównie w rejonie Kosowego Pola. Ale Albańczycy rozmnażają się znacznie szybciej niż oni... A zresztą, skąd się tu oni wzięli? Najpierw wykorzystali ucieczkę Serbów, przed karną ekspedycją turecką, potem zajmowali miejsca tych Serbów, których wysiedlili w czasie ostatniej wojny włoscy okupanci. Zawsze kolaborują...

Albańczycy oczywiście mają swoje racje, kraj jest etnicznie ich, Serbowie są okupantami, którzy chcą ich zmusić do całkowitej uległości albo do emigracji. A przecież mają prawo do niezależności. Twierdzą, że wcale nie chcą zjednoczenia z Albanią. Zapewne są szczerzy, bo w Albanii dużo większa bieda, zatem to żaden interes. A poza tym boją się Serbów, bo ci mają armię, zatem wybrali walkę metodą biernego oporu, nie chcą ich prowokować. Wprawdzie Serbowie twierdzą, że w Kosowie wszyscy mają broń, ale Albańczycy czołgów nie mają na pewno.

W obecnej chwili posądzanie Albanii o imperialistyczne zamiary brzmi groteskowo, ten kraj ledwie zipie. A islamski fundamentalizm? Albania była

przecież pierwszym ateistycznym krajem świata, religie dopiero teraz zaczynają się odradzać. Nie ulega wątpliwości, że, na przykład, Iran dołoży wszelkich starań, aby zradyzalizować islam na Bałkanach, ale trzeba się starać, żeby mu się to nie udało. Już lepszy jest obecny model turecki, choć się źle kojarzy. Nie można islamu ani krajów muzułmańskich traktować jako monolitu i należy wspierać jego bardziej cywilizowane nurty. Zatem strach przed fundamentalizmem jest złym doradcą, raczej do prowokuje. Chwiejna równowaga strachu trwa. Na jak długo? Może nawet na dłużej, jeśli na dachach Prištiny nie pojawią się snajperzy z Afganistanu, Iranu, Iraku, Jemenu czy innych krajów, które ich eksportują.

Niektórzy uważają, że w gorszej sytuacji jest Macedonia, choć tam na pozór spokojnie i miło. Bo jest to kraj w politycznym okrążeniu, a gospodarczo upadający. Sankcje ONZ w praktyce uderzyły w niego, bo Grecja zamknęła granice twierdząc, że idące do Macedonii towary mogą pójść dalej. Oczywiście jest to pretekst, chodzi o ukaranie Macedonii za jej niepodległościowe pomysły, a zwłaszcza z nazwę. Wszyscy sąsiedzi mają wobec niej pretensje terytorialne. Wprawdzie ONZ ją uznała, ale jej członkowie nie spieszą się – z różnych powodów. Stan niepewności trwa. Rośnie napięcie między poszczególnymi grupami etnicznymi, choć na razie to jeszcze sielanka w porównaniu z Bośnią. Armia macedońska ma ponoć dwa czołgi, z czego jeden zdatny do użytku.

Wojny i tortury, rzezie i ucieczki miały miejsce wszędzie, ale na terenach jugosłowiańskich występują w szczególnym zagęszczeniu. Stąd beznadziejny łańcuch zbrodni i kary, która rodzi nową zbrodnię. Widać jak na dłoni, jak trudno pozbyć się zła usilnie z nim walcząc. Ono jakby tylko czekało, żeby przeskoczyć na walczącego i w nim się zagnieździć. Łańcuch zła może przerwać tylko dobro.

To, co się dzieje na terenach byłej Jugosławii, zwłaszcza w Bośni, domaga się interwencji. Każdy dzień zwłoki powiększ ilość ofiar i pomnaża potencjał nienawiści, z której trzeba będzie się leczyć przez pokolenia. Zwlekanie, które od dawna obserwujemy, wszystkie te kunktatorskie wykręty i drobne gierki w obliczu tragedii budzą przerażenie. Ale jaka to powinna być interwencja? Politycy i wojskowi przedstawiają mnóstwo racji, które przemawiają przeciwko ingerencji zbrojnej, wykazując jej trudność i prawdopodobną nieskuteczność. I mają rację, choć równocześnie muszą przyznać, że zaangażowane w konflikt strony rozumieją już tylko język siły. Organizacją Narodów Zjednoczonych pogardzają bodaj wszyscy walczący, chcą broni a nie tragikomicznych rokowań. Mają rację, a jednocześnie zupełnie jej nie mają, z innego jeszcze powodu. Bowiem mówią tylko o użyciu siły zbrojnej. Ona ma charakter policyjno–karny, może ewentualnie zapobiec dalszym zbrodniom i ukarać winnych (i wielu niewinnych przy okazji), ale nie proponuje rozwiązania, które usuwałoby przyczyny zła i stwarzało możliwość jakiegoś wyjścia z kryzysu. Propozycje Vance’a–Owena mają swoją wartość, ale to w gruncie rzeczy też paliatyw, mają rozdzielić walczących, ale nie stwarzają nadziei na prawdziwie pozytywne przezwyciężenie zła.

Dostarczenie broni bośniackim muzułmanom i zbombardowanie pozycji serbskich? Z punktu widzenia taktycznego to może być nawet niezły pomysł. Skoro nie można osiągnąć równowagi sił przez rozbrownienie (bo w praktyce jest ono prawie niemożliwe), to może da się to zrobić przez dozbrojenie. Może równowaga strachu na innym poziomie da upragniony pokój. Ale może nie da, bo potencjał nienawiści jest już tak duży, że tylko całkowite rozbrownienie i międzynarodowa policja mogą zapewnić spokój – na jakiś czas.

Potencjał nienawiści – bardzo istotny wymiar sytuacji. Z punktu widzenia doraźnej taktyki jakieś działanie może doprowadzić do wstrzymania walk, ale równocześnie nawet powiększyć ów potencjał. Dla interesów tego czy innego państwa, czy nawet grupy państw, to wstrzymanie może załatwiać sprawę. Z punktu widzenia interesów ludzkości nie wystarczy – potrzebne jest jego radykalne zmniejszenie.

Operacja bombardowania może przynieść doraźny sukces, który jest ważny. Ale prawdopodobnie, lub prawie na pewno, potencjał nienawiści powiększy. Dlatego wydaje się, że politycy popełniają tu błąd, który mam ochotę nazwać nie tyle etycznym, ile metafizycznym. Bowiem wielkie zło domaga się wielkiego dobra. W krajach o szczególnym zagęszczeniu zła (nie wchodzimy w to, czyja to wina, i tak tego żadnym sposobem nie ustalimy) bez wielkiego dobra nie przywróci się w miarę zdrowej struktury społecznego bytu.

Nie wystarczy więc wymusić wstrzymanie walki i w ten czy inny sposób rozdzielić, czy nawet rozbroić przeciwników. To kruchy i powierzchowny sukces, choć tak ważny. Trzeba plany globalnego, obejmującego podźwignięcie gospodarki, stworzenie sprawnej międzynarodowej struktury zapewniającej poczucie bezpieczeństwa oraz przede wszystkim nadzieję na lepsze jutro, jakiejś wizji dobra, dla którego warto pracować i ponosić ofiary. Interwencja zbrojna ma sens tylko dla realizacji wielkiego celu, dla osiągnięcia dobra najwyższej rangi. Tylko wtedy jest usprawiedliwiona i zarazem ma szansę trwałego sukcesu. Tylko wtedy siła może nie budzić nienawiści, być odbierana i konieczna a nawet życzliwa. Ale to wymaga nie tylko przekształcenia ONZ, lecz także rewolucji moralnej – i tu leży Główna trudność. Obecny stan ludzkości – zarówno od strony mentalności, jak też struktur – jest bowiem nieadekwatny do jej potrzeb i możliwości rozwoju.

Obserwując perypetie naszego konwoju zastanawiałem się nad warunkami skuteczności humanitarnej pomocy. Można by powiedzieć, że najłatwiej jest zebrać dary, trudniej przetransportować, jeszcze trudniej zapewnić dotarcie do najbardziej potrzebujących. Zatem najpierw trzeba mieć na miejscu ludzi, którzy doskonale znają te potrzeby, dalej zaś realizować ich zamówienia możliwie szybko i przy najmniejszych kosztach własnych. Zatem przekazywać przesyłki rozmaitymi drogami, korzystając z okazyjnych czy regularnych środków komunikacji. Ale zazwyczaj postępujemy odwrotnie: robimy propagandę, organizujemy wielki konwój, zapraszamy dziennikarzy i wyruszamy pokonując mnóstwo trudności, których przy innym systemie dałoby się zapewne uniknąć. I musimy tak robić, przynajmniej na początek, bo tylko w ten sposób docieramy do środków przekazu i mamy za darmo reklamę, bez której nie będziemy mieli sponsorów. Kiedy wysyłamy raz w tygodniu ciężarówkę, to nikogo to nie zainteresuje, dopiero wielka wyprawa – najlepiej zmierzająca do niebezpiecznej strefy – budzi powszechny zapal.

Choć czasem trzeba wysłać konwój w mocnej propagandowej osłonie także dlatego, że inaczej nie pokona politycznych oporów różnych władz czy bezwładu i korupcji lokalnych urzędników. Ale tu nowy problem – aspekt polityczny humanitarnej pomocy. Czy pomagać po cichu, nikogo nie drażniąc i zachowując polityczną neutralność, czy też wykorzystywać niesioną pomoc dla budzenia opinii publicznej, ujawniania nadużyć czy prześladowań? Trudno to rozstrzygnąć raz na zawsze. Czasem taka swoista instrumentalizacja charytatywnej pomocy uzasadniona i nawet konieczna. Jeśli przyjazd z darami jest jedynym sposobem dotarcia do prześladowań ludzi i uzyskania ważnych informacji, to taka akcja, w której pomoc jest środkiem a nie celem, może być usprawiedliwiona, choć najczęściej ma charakter jednorazowy.

Ale równocześnie ścisłe przestrzeganie politycznej neutralności ograniczanie się do pracy charytatywnej budzi zaufanie u wszystkich, co jest ważne z różnych powodów. Myślę tu o przygodzie Comunità di San Egidio w Rzymie, która wysłała pomoc dla Mozambiku. Nie dało się jej przekazywać z pominięciem ówczesnych komunistycznych władz, choć bardziej była potrzebna jej przeciwnikom. Liczono się z tym, że jej część pójdzie w niewłaściwe ręce, że będzie rozkradziona. Ale ludzie z tej wspólnoty doszli do wniosku, że trudno, lepiej pomagać mało skutecznie niż wcale. Trwało to dłuższy czas. A kiedy walczące strony doszły do wniosku, że już dłużej nie można, że trzeba znaleźć jakieś rozwiązanie konfliktu, to potrzebny był jakiś pośrednik dla rozpoczęcia rozmów. I okazało się, że tylko całkiem apolityczna organizacja, zajmująca się inwalidami i biednymi cieszy się zaufaniem obu stron. Niespodziewanie stała się gospodarzem pokojowych rokowań. I mogła się nim stać tylko dlatego, że była całkiem neutralna i zajmowała się wyłącznie niesieniem pomocy wszystkim potrzebującym.

W Skopje odwiedziłem księdza biskupa Joakima Herbuta, ordynariusza tej diecezji. I od niego dowiedziałem się z radością, że właśnie prowadzi rozmowy dla stworzenia wspólnej z prawosławnymi i muzułmanami organizacji charytatywnej. Jeździli już razem do Asyżu na ekumeniczne modlitwy, zatem są szanse na stałą współpracę. Przyznam się, że mnie to olśniło. Taki znak współpracy, przełamania nieufności czy wrogości, wart jest bardzo dużo, może być sygnałem nadziei nie tylko dla Macedonii, ale wręcz dla całego świata. Choćby to było coś bardzo małego, jak ziarno gorczyczne...

Ale dlaczego nie organizować ekumenicznych wypraw? Przecież przyjazd takiego konwoju miałby potrójną wartość: przyniósłby pomoc materialną, przełamywał wrogość i uczył współpracy. A jego zorganizowanie w Polsce

czy we Francji może nie byłoby takie trudne, na pewno łatwiejsze niż współdziałanie w Bośni. I taka właśnie pomoc powinna by się stać punktem wyjścia dla współpracy na miejscu, przy rozdzielaniu darów. A potem może i w innych dziedzinach życia społecznego. A także prowadzić do trójstronnego, chrześcijańsko–żydowsko–islamskiego dialogu, który jest dzisiejszemu światu koniecznie potrzebny.

„Znak” 7/1993, nr 458

» STEFAN WILKANOWICZ – ur. 1924 r., współzałożyciel Klubów Inteligencji Katolickiej w Warszawie i Krakowie, w latach 1978-1944 redaktor naczelny miesięcznika „Znak”, od 1999 roku przewodniczący Fundacji Kultury Chrześcijańskiej „Znak”. W 2006 roku odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, a w 2012 Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski

Brak tylko słowa „wybaczyć”

Konstanty Gebert

W krwawym konflikcie bośniackim udział, acz nierówny, miały też trzy główne wyznania, które – usprawiedliwiając zbrodnie – utraciły wiele ze swej wiarygodności. Jedyną szansą na pojednanie jest cierpliwe wsłuchiwanie się w drugiego i empatia

Konflikty pamięci w byłej Jugosławii nie są rzeczą nową, aczkolwiek wizja Bośni, czy szerzej: Bałkanów, jako terenu nieustannych i odwiecznych wojen jest nieprawdziwa. Stanowiły one przerwy w długich okresach mniej lub bardziej udanej koegzystencji. Dowodem na to jest architektura sarajewskiej Baščaršija, gdzie synagoga, meczet, cerkiew i kościół są od siebie oddalone o rzut kamieniem. Przez długi czas nikomu nie przychodziło do głowy, że ktoś będzie te kamienie rzucał.

Sprawiedliwe zapomnienie

Warto spojrzeć, jak w Bośni radzono sobie z konfliktami pamięci. Po II wojnie światowej zwycięzcy komunisci narzucili własną wizję przeszłości i wielu odetchnęło z tego powodu z ulgą. Tito zbudował tę wizję na micie Braterstwa i Jedności. Komunisci, z założenia wieloetniczni, jeszcze zacieklej niż z okupantami walczyli z różnymi narodowymi ugrupowaniami zbrojnymi. Ten mit pozwalał wszystkim unikać odpowiedzialności za historię. Podobnie jak w konflikcie lat 90., także podczas II wojny światowej działały formacje bardziej i mniej zbrodnicze, ale wszystkie miały wystarczająco dużo na sumieniu, by uznać, że taka

wiązana transakcja im się *per saldo* opłaca. Tyle tylko że Braterstwo i Jedność było tylko jednym z elementów tego niepisanego porozumienia. Drugim była zasada, że niesprawiedliwość będzie rozdzielana sprawiedliwie między wszystkich. Przykładem może być Chorwacka Wiosna, czyli ruch z początku lat 70. na rzecz chorwackiej tożsamości w Jugosławii. Tito brutalnie go stłumił, a potem dla świętego spokoju zaareztował także serbskich intelektualistów w Belgradzie, którzy akurat niczego się nie domagali.

Miało to konsekwencje zarówno w odniesieniu do pamięci, jak i współczesnej sytuacji. Skoro nikt nie mógł mówić w imieniu jakiegokolwiek narodu – ponieważ prawo do zabierania głosu miała wyłącznie Liga Komunistów w Jugosławii – to znaczy, że nikt nie mógł w imieniu Chorwatów prosić o wybaczenie za zbrodnie popełnione podczas wojny na Serbach i, w mniejszym stopniu, na muzułmanach. Nie pojawił się chorwacki Willy Brandt, bo system skutecznie uniemożliwiał komukolwiek mówienie w imieniu narodu. W związku z tym ofiary i ich potomkowie nie usłyszeli ze strony sprawców słowa: „wybaczcie”. I uznali, być może irracjonalnie, że skoro Chorwaci nie proszą o wybaczenie, to uważają pewnie, że nie ma takiej potrzeby. Innymi słowy, uznali, że gdyby Chorwaci mieli okazję, to znów zrobiliby dokładnie to samo, co w przeszłości. Tyle że tym razem, pomyśleli Serbowie, to my będziemy pierwsi. I byli. Serbowie, ofiary zbrodni chorwackich podczas II wojny światowej, stali się głównymi oprawcami podczas wojny lat 90. ubiegłego wieku. Kierowali się głównie propagandą, która twierdziła, że „jeżeli nie będziemy ich zabijać, to oni zabiją nas”. Brak tego „wybaczcie” był jednym z elementów, który tę propagandę uwiarygadniał. W efekcie znów wybuchła wojna, najpierw w Chorwacji, potem w Bośni, gdzie tym razem

siły serbskie dopuściły się ludobójstwa. A potem wojna skończyła się bardzo złym pokojem.

Światy równoległe

Znowu jak po zakończeniu II wojny odetchnięto z ulgą – „przynajmniej przestali nas zabijać”. Tylko że coś trzeba było z tą przeszłością zrobić. Tym razem nie było już siły podobnej komunistom po II wojnie światowej, która mogła narzucić wszystkim swoją wizję historii. Powstały za to trzy równoległe wersje przeszłości, pozostające ze sobą w idealnej sprzeczności, wykładane w tym samym czasie, niekiedy w tych samych budynkach. Dla mnie jednym z najbardziej przejmujących miejsc w Bośni jest szkoła powszechna w miejscowości Fojnica pod Sarajewem. Podzielona jest ona murem, z osobnymi wejściami dla dzieci chorwackich i muzułmańskich. Jest to ta sama Fojnica, w której franciszkanie z dumą pokazują w klasztorze firman od sułtana, wydany natychmiast po podboju Bośni w XV w. i gwarantujący franciszkanom pełnię swobód. Czasami warto się zastanowić, co rozumiemy jako postęp.

Pod koniec lat 90. bośniacka badaczka Bronislava Baranović zbadała podręczniki szkolne. Nie przypuszczam, by od tamtej pory sytuacja uległa drastycznej zmianie. Jej zespół przeanalizował 749 rozdziałów podręczników szkolnych do historii, w serbskim, chorwackim i boszniackim systemie nauczania. Warto pamiętać, że w Bośni mamy dwanaście rządów – osiem rządów kantonalnych, rząd kantonu Sarajewo, rząd Federacji Bośni i Hercegowiny, Republiki Serbskiej i państwa Bośnia i Hercegowina. 12 rządów na głowę mieszkańca, na niewiele ponad 4 miliony nieszczęsnych ludzi i trzy systemy nauczania – serbski, chorwacki, muzułmański. Nawet gdyby relacje były jak najbardziej pokojowe, taka sytuacja nie mogła doprowadzić do niczego dobrego.

Zobaczmy, co ustaliła Baranović. W żadnym z badanych podręczników historia inna niż własnego narodu nie była wspominana w więcej niż jednej czwartej rozdziałów. Pamiętajmy, że nie mówimy o stosunkach między Islandczykami a Mauretańczykami, ale o relacjach między sąsiadami z jednej ulicy. Nie pojawiają się oni w trzech czwartych rozdziałów podręczników historii. To cierpienie własnego narodu było głównym tematem 42% rozdziałów z podręczników chorwackich, 14% rozdziałów z podręczników boszniackich – co przy okazji pokazuje różnicę w postrzeganiu tego cierpienia. W podręcznikach boszniackich w 19 wypadkach pisano o wojnach obronnych, które toczyli Boszniacy, i tylko o 1 wojnie zaborczej. W chorwackich podręcznikach wojen obronnych było już 40, a zaborczych „aż” 4. W serbskich podręcznikach wojen tych było 58, ale w 10 przypadkach była mowa również o wojnach zaborczych. Gdy weźmiemy pod uwagę, że znakomitą większość tych konfliktów wspomniane społeczeństwa toczyły między sobą, jest rzeczą zdumiewającą, że w każdym wypadku zwycięża myślenie: „myśmy się bronili, oni zawsze napadali”.

Baranović zauważa, że w żadnym z tych podręczników nie było ani jednego rozdziału o tym, czym jest studiowanie historii. Innymi słowy, dzieci uczą się, że „myśmy cierpieli, myśmy się bronili, a tajemniczy obcy, o których się nie uczymy, bo nie musimy, a poza tym i tak dzieli nas mur, tak jak np. w Fojnicy, wciąż nam zagrażają”; wizja ta utrzyma się, dopóki nie będziemy także uczyć refleksji nad tym, czym jest historia. Bez spojrzenia na nią w krytyczny sposób można przyjąć, że historia jest po prostu jedną z nauk empirycznych, jak chemia. Wówczas jednak, tak jak przyjmuje się, że wrzucając kostkę sodu do wody, wywoła się wybuch, tak samo można twierdzić, że Serbowie i muzułmanie nie mogą mieszkać pod

jednym dachem, bo są jak oliwa i woda. Jest to ta sama ideologia. Co można z nią zrobić?

Perspektywa pamięci

Jeden ze sposobów wypracowałem, uczestnicząc już od wielu lat w dialogu polsko-żydowskim. Metoda polega na przyjęciu założenia, że to, jak tamci drudzy pamiętają naszą historię, jest uprawnione w tym samym stopniu, co sposób, w jaki my ją postrzegamy. Nie oznacza to, że przyznajemy tamtym rację, ale że zakładamy ich dobrą wolę. I dopiero wtedy możemy tego samego żądać w stosunku do siebie. Dam jeden przykład. W filmie Claude'a Lanzmanna *Shoah* pojawia się opis Warszawy Kazika Ratajzera, bojowca z getta, który wyszedł kanałami na „stronę aryjską” tuż przed wybuchem powstania, żeby kupić broń. Został przemycony do konspiracyjnego lokalu, umyty, ubrany. Kazik wspomina, że kiedy wyszedł na ulicę, zobaczył miasto, które żyło w pokoju. Dziewczyny chodziły po ulicach z bukietami kwiatów, ludzie siedzieli w kawiarniach, orkiestry grały na skwerach. Warszawa żyła w pokoju. Getto znajdowało się w innej rzeczywistości, w tej samej, w której funkcjonowały Oświęcim, Treblinka, Gułag. Z tej perspektywy, „aryjskiej” stronie Warszawy było bliżej do okupowanego Paryża czy nawet wolnego, ale bombardowanego Londynu niż do koszmaru, który się rozgrywał tuż obok. Tylko ktoś, kto wyszedł kanałami z getta w kwietniu 1943 r., mógł wyobrazić sobie, że Warszawa jest miastem, które żyje w pokoju. W tym czasie na warszawskich ulicach rozstrzeliwano ludzi, panował bezwzględny terror. Problem polega na tym, że tak samo jak Kazik ma rację, tak samo Kowalski, który przeżył wojnę po drugiej stronie muru, ma rację, mówiąc, że jest to nieprawda. Nie będzie żadnej szansy na rozmowę, dopóki Kazik i Kowalski nie powiedzą sobie, może z niechęcią, ale przyznają – nie mam do ciebie pretensji, że tak uważasz, taka jest twoja pamięć.

Bardzo pomaga, jeżeli obie strony mogą się mimo wszystko zaliczyć do jednej grupy. My o różnej pamięci – Polacy i Żydzi – jesteśmy wspólnie ofiarami Niemców. W tym wysiłku odnajdywania tego, co wspólne, pomagają, a przynajmniej powinny pomagać, religie. Kłopot polega jednak na tym, że z całą pewnością religie w Bośni nie rozliczyły się jeszcze ze swojej niedawnej krwawej przeszłości. Kilka lat temu jako reprezentant Żydów uczestniczyłem w Sarajewie w dialogu międzywyznaniowym i słuchałem z rosnącym zdumieniem, jak przedstawiciele Kościoła katolickiego, Cerkwi prawosławnej i Związku Muzułmańskiego mówili to samo – moja religia jest religią pokoju i jeżeli ktoś twierdzi, powołując się na nią, że zezwala ona na przemoc i zbrodnie, to mówi nieprawdę. W tym dialogu nikt nikomu nie zarzucił kłamstwa. Uznałem, że i tak nazajutrz wyjeżdżam, więc mogę się narazić. Powiedziałem, że wszystkim bym uwierzył, gdyby nie to, że mieszkalem podczas wojny przez rok w tym mieście i słyszałem, jaki te religie głosiły przekaz.

Stąd bardzo trudno, przynajmniej w Bośni, traktować jakąkolwiek z religii jako narzędzie pojednania. Nie są one w tym względzie wiarygodne. To, że posługiwano się nimi, aby uzasadniać zbrodnie, jest oczywiście zniewagą dla tych, którzy nie godzili się wtedy, jak i nie godzą się teraz na zbrodnie usprawiedliwiane wiarą. Dlatego chciałbym, byśmy pamiętali o konsekwencjach przyzwolenia jakiejś religii na to, by w jej imieniu popełniano zbrodnie. Jakiś czas temu opłakiwaliśmy muzułmanów i Żydów zamordowanych w Tuluzie z powodu ekstremistycznej interpretacji Islamu, z którą oczywiście główny nurt Islamu nie ma jakoby nic wspólnego. Wolałbym jednak, żeby mówili o tym wyznawcy głównego nurtu Islamu, a nie, żebym mówił to ja. Ja mam mówić o żydowskim terroryście Baruchu Goldsteinie, który zamordował w Hebronie modlących się muzułmanów. Chrześcijanie mają mówić o popach i księżach, którzy podczas wojny

bośniackiej błogosławili morderców, czy chociażby o chrześcijańskich terrorystach, walczących po obu stronach w Irlandii. Póki będziemy się bili w cudze piersi, będzie dudniło bardzo mocne echo, ale będzie ono puste.

„Znak”, nr 688, wrzesień 2012

» KONSTANTY GEBERT – publicysta „Gazety Wyborczej”, dyrektor polskiego oddziału Europejskiej Rady Polityki Zagranicznej (ECFR); w latach 1992–1993 uczestniczył w misjach Tadeusza Mazowieckiego, Specjalnego Wysłannika ONZ do byłej Jugosławii

Marzenia o „Wielkiej Bałkanii”

Dyskusja z udziałem Moniki Izydorczyk i Wojciecha Stanisławskiego

18 lutego, dzień po ogłoszeniu niepodległości przez Kosowo, w warszawskiej siedzibie fundacji PAUCI odbyła się dyskusja poświęcona możliwym konsekwencjom tego wydarzenia dla Bałkanów i innych domagających się niezależności regionów Europy. Poniżej drukujemy jej fragmenty. Rozmowę prowadził Jan Piekło.

JAN PIEKŁO: *Ogłoszenie deklaracji niepodległości przez Kosowo wywołało różnorodne, często bardzo emocjonalne reakcje w świecie. Nieprzejednaną pozycję Serbii wsparła Rosja, niektóre mające własne problemy z mniejszościami narodowymi kraje Unii Europejskiej również nie zdecydowały się na uznanie Kosowa. Polska dyplomacja, idąc w ślady Waszyngtonu, Berlina, Paryża i Londynu, odpowiedziała na deklarację Prisztiny, uznając kolejne nowe państwo, które powstało na Bałkanach.*

Jakie mogą być międzynarodowe konsekwencje tej sytuacji? Czy ten niewątpliwy precedens w dziejach prawa międzynarodowego nie wywoła efektu domina i kazu Kosowa nie zachęci innych pozbawionych własnej państwowości grup etnicznych do pójścia podobną drogą? Czy nie przyczyni się do dalszej destabilizacji sytuacji na Bałkanach? A może

otworzy drogę do procesu normalizacji, tworząc fundamenty nowych rozwiązań trudnych problemów współczesnego świata?

MONIKA IZYDORCZYK: Wczorajsze wydarzenia w Prisztinie nikogo nie zaskoczyły. Od czasu interwencji NATO w 1999 roku Kosowo było tzw. *limbo state* – znajdowało się w stanie zawieszenia. Oprócz administracji międzynarodowej – i silnych struktur przestępczości zorganizowanej – w zasadzie nie funkcjonowało tam nic. W dodatku ONZ nie bardzo wiedziała, co z Kosowem zrobić. Niektórzy politycy, prym wiedli w tym Amerykanie i Niemcy, już wcześniej obiecali kosowskim Albańczykom niepodległość. Po rozbudzeniu takich nadziei coraz trudniej było uspokoić region i wyobrazić sobie powrót serbskiej administracji do prowincji.

Z drugiej strony większość kosowskich Albańczyków stanowią ludzie młodzi, którzy są zmęczeni ciągłą „tymczasowością” i chcą żyć we własnym państwie. Dlatego należy unikać jednoznacznych ocen i prorokowania, na przykład że Kosowo będzie państwem mafijnym. Byłoby to nieuczciwe w stosunku do tysięcy ludzi, którzy pragną pokazać światu, że dojrzeli do niepodległości i demokracji.

Jeżeli chodzi o Serbię, problem Kosowa ma charakter emocjonalny. Spośród dziesięciu milionów mieszkańców kraju dotyczy on bezpośrednio tylko około półtora miliona – są to imigranci z Kosowa wraz z rodzinami. Swoją rolę odgrywają jednak emocje zbiorowe: z jednej strony Serbowie wiążą z Kosowem swoją historię, z drugiej – uważają, że wspólnota międzynarodowa potraktowała ich niesprawiedliwie, pomagając prowincji uzyskać niepodległość. W Serbii panuje resentyment i brak zaufania do Unii Europejskiej i Stanów Zjednoczonych spowodowany przekonaniem, że działają one jednostronnie, na korzyść kosowskich Albańczyków.

Rzeczywiście polityka Unii na Bałkanach jest czasami mało zrozumiała. Europejscy politycy biorą zwykle pod uwagę tylko najbliższe kilkanaście miesięcy; w dłuższej perspektywie uważa się, że państwa tego regionu prędzej czy później wstąpią do Unii – a w każdym razie tak się im obiecuje. Mamy zatem ponownie do czynienia z rozbudzaniem marzeń i znowu brakuje planu, jak miałyby się tam dokonywać stabilizacja.

Weźmy za przykład Macedonię. W 2001 roku, po walkach między ludnością albańską i macedońską – które, *nota bene*, były efektem interwencji NATO w sąsiedniej Jugosławii – podpisano tzw. porozumienie ochrydzkie gwarantujące Albańczykom, stanowiącym około jednej czwartej populacji, większość praw. Później podpisano z Macedonią Porozumienie o stabilizacji i stowarzyszeniu (SAA), obiecując rozpoczęcie rozmów o przyszłym członkostwie w Unii Europejskiej. Tymczasem w 2007 roku do rozpoczęcia rozmów nie doszło, a raport Brukseli nakazał wcześniej... rozwiązać problem nazwy kraju!

Tuż przed drugą turą wyborów prezydenckich także Serbom zaproponowano porozumienie o stowarzyszeniu. „Podpiszecie je, ale w zamian zgodzicie się na niepodległe Kosowo” – zażądano nie wprost. W Belgradzie uznano to za ingerencję w wewnętrzne sprawy kraju i kiedy kwestia porozumienia z Unią stała się tematem kampanii wyborczej, wówczas – wbrew przewidywaniom – osłabiła pozycję ubiegającego się o ponowny wybór prezydenta Borisa Tadicia. W efekcie, mimo że poparła go większość, poziom zaufania do Unii jest w dalszym ciągu niski.

Polityka Unii Europejskiej na Bałkanach powinna ulec zmianie: musi uwzględniać specyfikę regionu i lokalne powiązania. Bez znajomości historii Bałkanów trudno tam działać efektywnie.

WOJCIECH STANISŁAWSKI: Upominanie się o dobre imię Unii Europejskiej nie zawsze przychodzi mi łatwo, niemniej muszę w tym miejscu oddać jej sprawiedliwość. Kiedy ONZ i Unia Europejska wkraczały do Kosowa latem 1999 roku, rzeczywiście nie miały długofalowego planu działań. Jednak od strażaków zazwyczaj nie wymaga się, aby zajmowali się projektowaniem przyszłych wnętrz budynku, który właśnie gaszą. A w Kosowie trwał wtedy pożar i chodziło przede wszystkim o skuteczne przeprowadzenie interwencji humanitarnej – nie zaś o zaplanowanie ustroju.

Przy wszystkich mankamentach obecnej sytuacji największą zaletą tego, co się stało wczoraj, jest to, że wreszcie „coś” się stało – że pewien frustrujący stan zawieszenia uległ zmianie w jakimś kierunku. Jedną z niewielu rzeczy, których jesteśmy pewni, to przekonanie, że wobec niepodległości Kosowa nie istniała alternatywa. Spróbujmy sobie przez chwilę wyobrazić Serbię, która wraca do prowincji i ponownie instaluje tam swoje siły policyjne. To jest historia, przy której Irlandia Północna wydałaby się nam rajem! Nie da się też długo utrzymywać prowizorium, choćby z tego powodu, że jest to szalenie kosztowne.

JAN PIEKŁO: *Na belgradzkich ulicach bezpośrednią reakcją na niepodległość Kosowa było podpalenie ambasady amerykańskiej. W Kosowskiej Mitrowicy nieznani sprawcy obrzucili placówkę Unii Europejskiej i ONZ. Jaki może być dalszy bieg wydarzeń? Czy niepodległość Kosowa rozwiąże trudną sytuację na Bałkanach czy skomplikuje ją jeszcze bardziej?*

WOJCIECH STANISŁAWSKI: Kiedy myślę na przykład o wszystkich dziewiętnastowiecznych insurekcjach, dochodzę do wniosku, że podpalenie

jednej z ambasad i obrzucenie kamieniami kilku innych to naprawdę stosunkowo niewielki koszt oderwania prowincji od państwa...

W partii szachów, która się teraz rozpoczyna, przewidujemy najbliższe trzy ruchy: demonstracje w Serbii, jakiś rodzaj sankcji wobec Prisztiny, które ogłosi Belgrad, oraz stopniowe uznanie Kosowa przez większość państw świata. Władze Serbii starają się „skanalizować” demonstracje, choć wiadomo, że na obrzeżach podniosłych manifestacji przewróci się jeszcze niejeden kosz na śmieci. Co do sankcji, Serbia może zrobić o wiele mniej, niżby chciała, bo w Kosowie prądu brakuje i bez tych sankcji – odcięcie zasilania z dwóch przygranicznych elektrowni niewiele tu zmieni. Pewne jest ochłodzenie relacji dyplomatycznych Serbii z wszystkimi krajami, które uznają niepodległość Kosowa, w tym prawdopodobnie również z Polską.

Jako analityk od spraw serbskich próbuję jednak przewidzieć czwarty ruch na tej szachownicy – czyli to, co w Serbii będzie się działo w ciągu najbliższych kilku miesięcy. Na poziomie polityki krajowej Tomislav Nikolić, określany mianem nacjonalisty wielki przegrany lutowych wyborów prezydenckich, zgarnie, mówiąc językiem pokera, całą pulę. Z przyjemnością powróci do radykalnej i odwetowej retoryki, ponieważ jest w niej najsukuteczniejszy, a w dodatku wszystko gra teraz na jego korzyść. Byłoby bardzo dobrze, gdyby w najbliższych wyborach parlamentarnych jego partia zdobyła nie więcej niż sześćdziesiąt procent miejsc w parlamencie. Inna rzecz, że słuchać hadko, jak w Serbii dokonuje się powrót do języka lat 90. Nikolić powiedział onegdaj, że choć do tej pory współistniały w Serbii dwa kalendarze: prawosławny i ogólnoeuropejski, od 17 lutego jest jednak jeszcze trzeci: Serbowie liczą czas od chwili utracenia Kosowa do jego ponownego odzyskania. Obawiam się, że to zdanie robi karierę.

Serbskie społeczności poza granicami kraju, przede wszystkim w Bośni i Czarnogórze, przyzwyczały się do tego, że ojczyzna oddaliła się od nich i że muszą sobie jakoś ułożyć życie w nowym i nie do końca własnym państwie. Od chwili, kiedy dwanaście lat temu pokój z Dayton uporządkował Bośnię, ci, którzy mówili o nietrwałości nowych granic, stanowili absolutny margines. Teraz, szczególnie w Bośni, trwa bardzo niepokojąca licytacja „na radykalizm”. Partie opozycyjne w Republice Serbskiej w Bośni próbują teraz wrócić do władzy z hasłem, że skoro możliwe jest to, co stało się w Kosowie, to również bośniaccy Serbowie powinni ogłosić niepodległość[1]. Mamy tu do czynienia zarówno z żądającymi niepodległości lokalnymi społecznościami serbskimi, jak i z Belgradem, który może tym postraszyć, jeśli uzna, że dzięki temu coś osiągnie. Warto też przypomnieć obecność albańskiej społeczności w Dolinie Preszewskiej w Serbii właściwej, która teoretycznie może zażądać przyłączenia do Kosowa... Widzimy więc, że region zachodnich Bałkanów to nie tyle szachownica, ile system sznurków, za które można pociągać w różnych kierunkach.

Warto przywołać dwa inne, powiązane ze sobą poziomy analizy obecnej sytuacji: międzynarodowy oraz ten, który nazwałbym poziomem wyobraźni politycznej.

W kwestii pierwszej: dyżurna, słyszana dziś często fraza dziennikarska brzmi: „Serbia to tradycyjny aliant Rosji, Rosja to tradycyjny aliant Serbii”. Często, choć bez większych nadziei na zmianę, staram się z tą opinią polemizować, lub przynajmniej ją osłabiać. Ciężenie Serbii w stronę Rosji jest na swój sposób oczywiste: wynika z poczucia osamotnienia i alienacji, z tego, że we współczesnym, „dzikim” świecie nie można być samemu, po trosze z prostej logiki, w myśl której „nieprzyjaciel naszego nieprzyjaciela jest naszym przyjacielem”. Owszem, mit „matuszki Rosji” wystarcza, by

kolejne miasteczka serbskie na wyprzódki nadawały swe honorowe obywatelstwo Władimirowi Władimirowiczowi. Serbskie elity są jednak w większości świadome tego, że zaangażowanie Rosji jest ograniczone, warunkowe i niebezinteresowne. Obecne zbliżenie z Rosją, niesłuchanie korzystna dla tej ostatniej sprzedaż serbskiego koncernu paliwowego – to mariaż z rozsądku, jeśli nie z rozpacz.

O poziomie wyobraźni politycznej dziennikarze mówią najrzadziej, bo najrzadziej czytają niskonakładowe czasopisma politologiczne. Serbia jest w pewien sposób sceptyczna wobec Zachodu. Do tej pory dyskusja na ten temat była racjonalna, ale teraz tego rodzaju wątpliwości – czego bardzo się obawiam – mogą się zwulgaryzować, przemienić w pogląd reprezentowany przez proste hasło „Zachód jest zły”. Psychologicznie byłoby to uzasadnione, ale dla samej Serbii oraz jej sąsiadów będzie katastrofą, jeśli zamieni się ona w matecznik eurosceptycyzmu już nie takiego, który wynika z refleksji politycznej, lecz wypływa z poziomu ulicy i sprowadza się do hasła „Zdradzono nas”. Jak wiemy, także z polskiej historii, takie urazy trwają długo i trzeba przejść, których Serbii nie życzę, by zatarły się w pamięci.

KRZYSZTOF BOBIŃSKI: *Jak wiadomo, olbrzymi wpływ na wynik ostatnich wyborów parlamentarnych w Polsce miało młode pokolenie, które zagłosowało na rzecz społeczeństwa otwartego, proeuropejskiego. Mówi się, że również w Serbii Boris Tadić wygrał dzięki głosom młodych ludzi. Czy młode pokolenie ma nadzieję na lepszą przyszłość, czy jest bardziej tolerancyjne? Jaką mamy gwarancję, że ta otwartość młodzieży nie przemieni się kiedyś w chęć mordowania się nawzajem?*

MONIKA IZYDORCZYK: Tadić nie wygrał wyłącznie dzięki młodym ludziom, choć rzeczywiście spory ich procent pogodził się już wcześniej z tym, że Kosowo jest „przegrane”. Na przykład zwolennicy liberalno-demokratycznej partii LDP otwarcie przekonują, że należy zapomnieć o Kosowie i zająć się integracją z Unią Europejską.

Z kolei bardzo duży wpływ na frekwencję w ostatnich wyborach miało powiązanie uczestnictwa w głosowaniu z prawem do udziału w akcji prywatyzacyjnej przedsiębiorstw państwowych. Nie mówi się o tym w mediach, ale wielu spośród tych, którzy poszli do urn, chciało uzyskać potwierdzenie oddania głosu, by później otrzymać prawo do swojej części udziałów w prywatyzowanych zakładach.

Jeżeli chodzi o niebezpieczeństwo wzrostu nastrojów eurosceptycznych, nie zgadzam się Wojciechem Stanisławskim. Takie nastroje są tam obecne od dawna – czy można sobie wyobrazić większy eurosceptycyzm od tego, który panował w 1999 roku, kiedy NATO bombardowało Serbię? Serbowie to naród wykształcony. Nie wszyscy są tam, jak się to często w prasie przedstawia, zdeklarowanymi nacjonalistami. Wielu ludzi nie tylko zna historię, ale również zdaje sobie sprawę z obecnego układu sił na arenie międzynarodowej i akceptuje to, że chociaż integracja z Unią nie musi być ich upragnionym celem, Serbia nie ma innego wyjścia niż zbliżyć się do Zachodu. Integracja jest na przykład jedyną możliwością, aby swobodnie podróżować, a trzeba w tym miejscu przypomnieć, że około 70 procent młodych Serbów nigdy nie wyjechało poza granice swojego państwa!

W Kosowie – ze względu na wysoki przyrost naturalny Albańczyków – młodzi ludzie stanowią większość społeczeństwa. Słysząc wśród nich głosy, że Europa może się stać alternatywą dla dążeń tych Albańczyków, którzy chcieliby utworzenia czegoś w rodzaju „Wielkiej Albanii” czy „Wielkiego Kosowa”. Po co łączyć wszystkie tereny zamieszkane przez

Albańczyków, skoro za kilka lat wszyscy, w ramach Unii Europejskiej, będą mogli współtworzyć silny region?

Dążenie Albańczyków do życia w jednym państwie jest bardzo silne. Co na to władze Kosowa? Prisztina oficjalnie twierdzi, że nie chce żadnej zmiany granic i że będzie prowadzić politykę zgodną z oczekiwaniami wspólnoty międzynarodowej. Z drugiej strony podczas rozmów z młodymi wyraźnie można wyczuć, że wielu z nich chciałoby żyć w jednym, wspólnym państwie albańskim. Integracja z Zachodem jest więc nie tyle celem, ile środkiem do niego. Celem jest zapewnienie dobrobytu narodowi albańskiemu.

ANDRZEJ JONAS: *Kto dysponuje kluczem do rozwiązania problemu Kosowa? Czy ów klucz znajduje się na Bałkanach, a więc czy rozwiązania należy szukać bezpośrednio w miejscu zdarzenia czy też może gdzieś na zewnątrz? Czy ewentualni dysponenti tego klucza – na przykład Unia Europejska – mają świadomość jego posiadania, potrafią go zidentyfikować i chcą go użyć? Czy tym kluczem jest czas czy może na przykład środki materialne?*

WOJCIECH STANISŁAWSKI: Ponieważ rozmawiamy w gronie eksperckim, pozwolę sobie na śmiałe zestawienie. W żadnym razie nie budując prostych paraleli między polskim powojennym dramatem „utruty Kresów” i trwającym kilka dekad osuwaniem tej utraty przez Polaków a tym, co dzieje się w tych tygodniach na Bałkanach, muszę przyznać, że w obu wypadkach mamy do czynienia z podobnymi obolałościami. Z tym, że w Polsce, pomiędzy śpiewaniem „nie oddamy Wilna” a paryską „Kulturą”, powieściami Konwického i naszym obecnym – nie wydumanym, lecz rzeczywistym, postrzegającym tak również z perspektywy Wilna i Kijowa –

sojuszem z Litwą i Ukrainą musiały przeminąć dwa pokolenia. Trzeba było 60 lat, w tym 40 lat w „zamrażarce”, którą po drodze postawiły nam nad Wisłą Sowiety. A przy tym sytuacja polska była nieporównanie bardziej komfortowa – Wilna i Kijowa nie odebrali nam szaulisi czy UPA, lecz „ktoś trzeci”, wspólny wróg, który w dodatku, koszmarnie skrzywdziwszy wszystkich, zniknął.. Takiego jednoczącego mianownika wspólnej krzywdy nie doczekamy się nad rzeką Ibar. Jeszcze jeden, jakkolwiek paradoksalnie by to brzmiało, plus naszej sytuacji: Kresy zostały utracone w czasach, z dzisiejszego punktu widzenia, niemal „przedmedialnych”, w warunkach stalinowskiej cenzury.. Serbów codziennie kłuć będzie w oczy na ekranach telewizorów sztandar z czarnym orłem nad Prisztiną.

Nawet jednak, gdyby wziąć te zastrzeżenia w nawias, w najlepszym razie trzeba będzie czekać lata, żeby uciekł płacz za Kosowem, by doczekać momentu, w którym pojawi się ktoś, kto będzie miał odwagę powiedzieć – nie głosem mędrka z Zachodu, lecz rodowitego belgradczyka – „to są wspólne Bałkany, nie możemy ich dzielić na »nasze« i »wasze«”. Tymczasem czas biegnie coraz szybciej i Serbowie codziennie dokonują wyborów: bo media, bo polityka, bo Unia... Istnieje wielkie zagrożenie, że mogą być skazani na uproszczony wybór pomiędzy nierozsądnym odrzuceniem całego bagażu tradycji a nadmiernym przywiązaniem do tradycji.

O tym, że czasowa „zamrażarka” jest pewnym rozwiązaniem, przekonuje przykład Bośni, w której, choć czasami dzieje się źle, to jednak dzieje się spokojnie. Od dwunastu lat mamy tam do czynienia ze stanem lodowatego pokoju i jeżeli uda się przeczekać jeszcze kilka następnych lat i ostatni ludzie, którzy brali udział w wojnach lat 90., pójdą na emeryturę, zacznie dominować poczucie, że trzeba sobie jakoś ułożyć to wspólne życie w Bośni.

MONIKA IZYDORCZYK: Problem zachodnich Bałkanów może pomóc rozwiązać Unia Europejska. W jej interesie leży bowiem stabilizacja regionu położonego w jej bezpośrednim sąsiedztwie. Pracując w Kosowie w ramach misji UNMIK, miałam na miejscu możliwość obserwacji mechanizmów podejmowania decyzji politycznych. Wiem, że w wypadku Kosowa były one podejmowane w biurze łącznikowym Stanów Zjednoczonych w Prisztinie. Jeśli zdarzyło się, że kosowskie władze podjęły jakąś kontrowersyjną decyzję, natychmiast dzwonił telefon od Tiny Kaidanow, najwyższej rangą przedstawicielki USA w Kosowie, która nakazywała decyzję uchylić. W czasie mojego pobytu szefem UNMIK-u był Joachim Ruecker z Niemiec, którego decyzje nigdy nie były sprzeczne z interesem jego kraju. A zastępca Rueckera, Steven Schook ze Stanów Zjednoczonych, w sposób aż nazbyt wyraźny realizował politykę amerykańską...

ANDRZEJ JONAS: *Czy potrafiłaby Pani nazwać interes europejski i amerykański na Bałkanach?*

MONIKA IZYDORCZYK: W interesie amerykańskim leży utrzymanie wojskowej obecności na Bałkanach. Stany Zjednoczone mają w Kosowie bazę „Bondsteel”. Z jednej strony Amerykanie mówią o wycofaniu się stamtąd, z drugiej – ich zaangażowanie w regionie pozostaje bardzo silne. Można się domyślać, że Waszyngtonowi zależy na utrzymaniu tam pewnego wpływu na postępowanie Unii Europejskiej, zwłaszcza na jej politykę bezpieczeństwa.

Na Bałkanach istnieją silne struktury przestępczości zorganizowanej, a w związku z tym, że w państwach europejskich mieszka i pracuje wielu

Albańczyków, dla niektórych z nich stanowią oni problem związany z bezpieczeństwem wewnętrznym. Z opublikowanych kilka lat temu danych wynika, że Albańczycy kontrolują 85 procent rynku heroiny w Europie.

Dochodzą do tego kwestie historyczne. W polskiej prasie ukazał się kiedyś komentarz Albanki, która twierdziła, że Albańczycy walczyli z faszyzmem. Jednak z tego, co pamiętam, wynika, że w czasie II wojny światowej idea „Wielkiej Albanii” była przez Niemcy i faszystowskie Włochy wspierana. W czasach, gdy Serbia była państwem prawosławnym, bliskim Rosji, Berlin chciał zwiększyć własne wpływy na Bałkanach poprzez wsparcie aspiracji albańskich.

WOJCIECH STANISŁAWSKI: „Wielka Albania” nie jest produktem państw Osi, choć na pewno Włochy Mussoliniego eksploatowały tę ideę, budując sztuczne i marionetkowe Królestwo Albanii. Jednak Albańczycy – podobnie jak Serbowie – walczyli po wszystkich stronach tego konfliktu: były siły kolaboracyjne, albańska partyzantka niepodległościowa, albańska partyzantka komunistyczna, partyzantka komunistyczna pod wodzą Tity i jeszcze z pół tuzina innych „barw na beretach”.

„Wielka Albania” to dziedzictwo romantyzmu – podobnie jak „Wielkie Niemcy”, „Wielkie Serbołużyce” i „Wielka Polska”, jak sądzę... Jest taka nieśmiertelna dla mnie fraza Miłosza o romantycznych, zauroczonych „ludem” poetach, którzy

Przebrani w kozuch, idąc od wioski do wioski,
Chuchali na folklory itp. pierwiosnki.
Aż namnożyli dziwnych nacjonalnych znaków.
To był haczyk – i sami wiszą na tym haku.

(*Toast*, z tomu *Światło dzienne*, 1953)

Tak się właśnie działo: poeci i etnografowie chodzili wtedy od wioski do wioski – opisuje to Krzysztof Pomian w *Europie i jej narodach* – a pierwsze pokolenie lokalnej inteligencji, czyli w zależności od regionu: księży, duchowni prawosławni, imamowie lub nauczyciele szkoły powszechnej, zaczynało mówić o języku, przeszłości, która musi wrócić, i o tym, że język zbrojny w bagnet równa się państwo. Potem zakreślali granice tych państw, możliwie jak najszerzej.

Jeśli na mapie Bałkanów rozrysuje się „Wielką Albanie”, „Wielką Serbie” i „Wielką Chorwację”, to okaże się, że ziemi jest dwa razy za mało! Ale też, gdyby sto lat temu w trójkącie Warszawa–Kijów–Wilno zacząć kreślić granice, efekt byłby podobny.

MONIKA IZYDORCZYK: Problem ziemi ma też swój wymiar dosłowny: Albańczycy prowadzą bowiem zorganizowaną, regularną akcję wykupywania gruntu i domów serbskich w Kosowie. Podobnie jest w sąsiedniej Macedonii. Społeczność albańska w danej wsi wybiera najpierw trzy najbardziej wpływowe lub najbogatsze rodziny macedońskie – na przykład te, które prowadzą sklepik lub kawiarnię. Proponują im kupno ich domów za półtora miliona euro, cenę o połowę wyższą niż średnia rynkowa. W chwili, gdy rodziny macedońskie decydują się na opuszczenie wsi, pozostali Macedończycy zaczynają się sami zgłaszać do Albańczyków z propozycją sprzedaży. Jest jednak za późno na dobry interes: ci proponują im tym razem cenę o połowę niższą od rynkowej, pół miliona euro... Proszę sobie wyobrazić, że koszty i zysk z zakupu macedońskich domów są dzielone razem! Ten proces trwa od siedmiu lat, jest to powolna, ale konsekwentna strategia.

WOJCIECH STANISŁAWSKI: Wszystkie fatalności, o których mówimy – wykup ziemi, związki klanów, nieuchronność demografii oraz przemysł – istnieją na Bałkanach od dawna. Mówiąc „tak” powstającemu właśnie państwu kosowskiemu, nie sankcjonujemy tych zjawisk. Niepodległość Kosowa nie wzmocni tych procesów, choć wioski będą nadal wykupywane, podobnie jak dzieje się to w podparyskich osiedlach Marokańczyków; tam też przecież odbywa się wykup mieszkań, choć niekoniecznie związany z powstawaniem we Francji nowego państwa.

JAN PIEKŁO: *Nasza dyskusja o Kosowie jest istotna dla zrozumienia wydarzeń nie tylko na Bałkanach, ale również w innych częściach świata. Jedną z przyczyn naszego niepokoju jest świadomość, że z punktu widzenia prawa międzynarodowego – przyznają to nawet zwolennicy niepodległości Kosowa – ostatnie wydarzenia nie mają precedensu w historii współczesnych stosunków międzynarodowych. Doszło przecież do złamania postanowień rezolucji 1244 Rady Bezpieczeństwa ONZ, która zakłada integralność Serbii i Kosowa. Czy sytuacja, w której nie ma szans na uznanie niepodległości Kosowa przez ONZ, nie wpłynie na podważenie istniejącego do tej pory porządku na świecie?*

Przychodzi też na myśl pytanie oczywiste: czy teraz również Kurdowie z amerykańskiego Iraku, Katalończycy, Baskowie lub Abchazi nie zechcą pójść w ślady kosowskich Albańczyków, uznając, że w ten sposób można „wygrać” niepodległe państwo?

WOJCIECH STANISŁAWSKI: Oczywiście: Katalończycy i Kurdowie, bez względu na subtelności prawne, będą się chwytać tego, co jest napisane wielkimi literami: „prawo do samostanowienia jest górą”. Dotychczasowa równowaga między dwoma wielkimi pryncypiami prawnymi –

suwerennością i samostanowieniem – przechyliła się zdecydowanie na korzyść tego drugiego. Prawdopodobnie musiało tak się stać, skoro jeszcze większy „ciężar” przeważa w jedną stronę od przeszło wieku: prawa jednostki wygrywają z prawami zbiorowości.

Mniej lub bardziej trafione odwołania do sprawy Kosowa będą się pojawiać na różnych sztandarach. Jest czymś niezwykłym, że Bałkany po raz drugi rozpoczynają u progu stulecia proces, który później nadaje kształt znacznej jego części. Sto lat temu mieliśmy Sarajewo, teraz mamy, być może, Prisztinę.

MAGDALENA REKŚĆ: *Mówi się, że w Europie Środkowej żadne granice nie będą sprawiedliwe – ale na Bałkanach wytyczenie takich granic byłoby po prostu utopią! Mieszka tam wiele „śpiących” grup etnicznych, poszukujących własnej tożsamości i odrębności, o których nie mówi się w mediach. Mam na myśli chociażby Aromunów czy kosowskich Goran.*

WOJCIECH STANISŁAWSKI: Albo martwimy się tą romantyczną gorączką narodowościową, albo ją podsycamy. Myślę, że wszystkich rachunków krzywd na Bałkanach nie zdołamy teraz uporządkować. Natomiast tam, gdzie tego nie musimy robić, nie podsycamy nowych marzeń o niepodległych państwach.

JAN PIEKŁO: *Za bardzo istotne uważam pytanie o młode pokolenie. Nie jestem tu optymistą. W czasie wojen lat 90. spędziłem na Bałkanach pięć lat, interesując się sytuacją młodych. To właśnie wtedy młode pokolenie zostało zarażone toksycznym wirusem nienawiści – na tyle skutecznie, że jego przedstawiciele chętnie wstępowali do ochotniczych oddziałów... Pamiętam zdarzenie z Zagrzebia, w które trudno uwierzyć: powstał tam*

batalion ochotniczek, dziewcząt, które rekrutowały się głównie spośród grona studentek uniwersytetu. Na froncie były postrachem dla Serbów – im trudno było strzelać do kobiet.

Przypominam sobie też wieczór, który spędziłem w towarzystwie Serba z pewnej małej miejscowości w Serbii właściwej. Kiedy wypiliśmy bardzo dużo rakii i zaprzyjaźniliśmy się ze sobą, powiedział, że chce mi coś pokazać. Wyciągnął z przedpokoju zamelinowaną gdzieś tam strzelbę i powiedział: „Widzisz, to jest strzelba z II wojny światowej. I ja z niej będę strzelał do muzułmanów”.

To media wygenerowały ten pierwszy stopień nienawiści, który pozwolił nawzajem się oskarżać i doprowadzić emocje do stanu wrzenia. Potem „to już samo poszło”. Myślę, że ten niebezpieczny potencjał cały czas drzemie na Bałkanach. Widziałem w Sarajewie pokolenie wojny: młodych ludzi, którzy nauczyli się strzelać i zabijać i, szczerze mówiąc, do dziś nie bardzo potrafią robić cokolwiek innego. Niemal cała policja w Republice Serbskiej w Bośni to weterani tamtych walk. Ostatniego lata odwiedziłem Republikę Serbską, podsłuchiwałem rozmowy przy stolikach kawiarnianych. Tam tli się potężny rewanżyzm, ochota „dopięcia” swego...

Wiem, że zaszły tam pewne zmiany, rozmawiałem przecież ze wspaniałą młodzieżą z uniwersytetu w Belgradzie w czasie kiedy strajkowała przeciwko Miloszewiciowi. Tamci studenci wypowiadali piękne i podniosłe słowa, w które bardzo chcę wierzyć. Ale widziałem również młodych ludzi, którzy oszaleli z etnicznej nienawiści i nie było tak, że oni niechętnie szli do poboru. Dla wielu młodych Serbów służba w armii jugosłowiańskiej była wtedy zaszczytem, możliwością „wybicia się”...

WOJCIECH STANISŁAWSKI: Spotykało się na pewno entuzjastów walk, byli również niechętni – ich często wcielano siłą do wojska. Myślę jednak,

że owo zaślepienie nacjonalistyczne, taki *furor ethnicus*, jest kompensacją jakiegoś niedoboru psychologicznego, a źródeł problemu należy szukać w głębokiej frustracji. Serbowie czują, że odstają od innych, że nie znaleźli się w Europie: niedawno byli jej „pieścidełkiem” i szybko być nim przestali. Dlatego szukają prostej odpowiedzi: niech żyje „Wielka Serbia”! Nie chcę wchodzić po amatorsku w dziedzinę psychologii społecznej, ale jest dla mnie niemal oczywiste, że u źródeł takich postaw leży potrzeba dowartościowania, że nacjonalizm w tym wypadku nie jest żadnym głębokim wyborem, lecz próbą znalezienia rekompensaty za poczucie odsunięcia i osamotnienia, które stanowi punkt wyjścia. Nie inaczej myślę, kiedy słyszę pijanego siedemnastolatka bez połowy zębów przednich, wygrażającego, z policzkiem w białą-czerwonej szmince, „żydowskiemu Widzewowi”. Nacjonalista? Nie – kiedyś skrzywdzony, dziś niebezpieczny młody człowiek.

MARCIN REY: *Chciałbym zapytać o biznes w Serbii i Kosowie – nie o samą strukturę gospodarczą, lecz o miejscowych oligarchów. W jaki sposób wpływają oni na bieżącą politykę? Przychodzi mi na myśl porównanie z Ukrainą, w której postawa dużego biznesu oligarchicznego ze wschodniej części kraju często determinuje decyzje podejmowane w Kijowie. Są tacy, którzy twierdzą wręcz, że to oligarchowie pozwolili w 1991 roku na niepodległość Ukrainy... Czy serbscy oligarchowie myślą o dogadaniu się z Rosją? I w jaki sposób to wszystko wiąże się ze sprawą rurociągów, które przebiegają przez Bałkany?*

WOJCIECH STANISŁAWSKI: Oligarchowie „drugiego rzędu” są zapewne zainteresowani półjawnymi kontaktami gospodarczymi z Kosowem. Kilku, z rodziną Kariciów na czele, stanowi taką oligarchię pierwszego pokolenia:

są krzykliwie serbscy i wspierają mniejsze partie – nawet bardziej populistyczne niż szowinistyczne. Ale również te partie, które umownie nazywamy proeuropejskimi, mają „swoich” oligarchów, którzy – choć teraz nie odzywają się głośno, nie chcąc iść przeciwko rozemocjonowanym tłumom – w przyszłości będą na pewno silnym wsparciem dla proeuropejskich dążeń Serbii. Rosja nie jest jeszcze, na szczęście, najpoważniejszym inwestorem w Serbii. Jest dopiero czwarta – oby tak zostało.

Co do rurociągów, w tej chwili toczy się gra, nie wiadomo, która z możliwości transportowania gazu i ropy zostanie ostatecznie wybrana: czy wygra „Nabucco” czy „Południowy Potok”, czy też może ich trasy będą przebiegać obok siebie[2]. Serbia może otrzymać dla siebie jedno z odgałęzień rurociągu i ciekawy politycznie kąsek: gaz dla siebie i Bośni.

MONIKA IZYDORCZYK: W samym Kosowie inwestuje głównie diaspora albańska. Ktoś, kto ma wujka w Szwajcarii, biedny zazwyczaj nie jest. Plagą Kosowa są nielegalne budownictwo i kradzież energii elektrycznej. Problemów z prądem nie wyjaśnia tłumaczenia o niewydolności elektrowni – prawda jest taka, że Albańczycy często za ten prąd po prostu nie płacą. Kosowu daleko jest jeszcze do państwa prawa.

Większość z albańskich oligarchów w Kosowie jest po prostu powiązana z mafią. Po 1999 roku doszło w Kosowie do utworzenia nowych klanów. Kiedyś struktura klanowa była oparta na więzach rodzinnych, ale począwszy od lat 90., kiedy działalność Armii Wyzwolenia Kosowa była częściowo finansowana z handlu bronią, przemytu narkotyków i ludzi, zaczęły się tworzyć nowe klany. W tej chwili jest parę silnych rodzin, które podzieliły między siebie strefy wpływów: część specjalizuje się w przemyśle kobiet, część w handlu narkotykami. I w ich interesie leży

podtrzymanie stanu destabilizacji politycznej. Bo, jak to zwykle bywa, w ślad za destabilizacją idą duże pieniądze, które można zarobić półlegalnie. W związku z tym wielu biznesmenów w Kosowie opowiada się za własnym, ale słabym państwem. Obawiają się konsekwencji stabilizacji: uszczelnienia granic, kontroli finansowych oraz sprawnego aparatu podatkowego.

JAN PIEKŁO: *W czasie naszej dyskusji padło jedno zabawne, ale i ważne stwierdzenie. Mianowicie Wojciech Stanisławski przejęzyczył się w pewnym momencie i powiedział coś o „Wielkiej Bałkanii”. Myślę, że w takiej „Bałkanii” cała nasza nadzieja, może kiedy ona w końcu powstanie, poradzimy sobie z wszystkimi problemami...*

Dyskusja, choć nie mogła wyczerpać tematu, podjęła kilka ważnych wątków, jej uczestnicy próbowali odpowiedzieć na parę istotnych pytań. Skoro przy wsparciu zachodnich demokracji na mapie świata powstało nowe państwo, teraz powinny one uczynić wszystko, by ten eksperyment zakończył się sukcesem. Wymaga to konkretnych działań na rzecz stabilizacji w tym trudnym regionie Bałkanów, skutecznych, wspieranych odpowiednimi środkami finansowymi działań, które pozwoliłyby i Serbom, i kosowskim Albańczykom razem odnaleźć się we wspólnym domu – zjednoczonej Europie. Jej liczącym się elementem byłaby wtedy ta „Wielka Bałkania”, której społeczność potrafiła przełamać wszechobecny stereotyp etnicznej nienawiści i rozpocząć współpracę na rzecz wspólnej lepszej przyszłości. Jeśli światowa dyplomacja wyciągnęła właściwe wnioski z tragicznych wydarzeń na Bałkanach, to są przesłanki, by móc pozostać optymistą.

» MONIKA IZYDORCZYK, ur. 1977, politolog, ekspert ds. Bałkanów. Od 2005 roku pracuje w misjach Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie w Macedonii, Kosowie, Serbii i Czarnogórze.

» JAN PIEKŁO, ur. 1952, dziennikarz, publicysta, przez wiele lat związany z Fundacją Kultury Chrześcijańskiej „Znak”. W latach 90. relacjonował na łamach „Tygodnika Powszechnego” wojnę w Bośni i Hercegowinie. Wydał m.in. *Epitafium dla Jugosławii* (1994). Obecnie jest dyrektorem Fundacji Współpracy Polsko-Ukraińskiej PAUCI.

» WOJCIECH STANISŁAWSKI, ur. 1968, historyk, ekspert Ośrodka Studiów Wschodnich, współpracownik „Rzeczpospolitej”. Zajmuje się dziejami Rosji oraz analizą obszaru serbskojęzycznego na Bałkanach.

.....

[1] Na mocy wynegocjowanego w Dayton porozumienia pokojowego z 1995 r. Bośnia i Hercegowina jest państwem federacyjnym, składającym się z dwóch części (*entities*): Federacji Bośni i Hercegowiny, obejmującej głównie tereny zamieszkane przez Chorwatów i bośniackich Muzułmanów na zachodzie i południu oraz z położonej w północno-wschodniej części kraju Republiki Serbskiej, która podkreśla swą odrębność od reszty terytorium (przyp. red.).

[2] Przez Bałkany mają przebiegać trasy dwóch konkurencyjnych rurociągów: Unia Europejska współfinansuje projekt rurociągu „Nabucco”, którym będzie transportowany gaz z Iranu i Azerbejdżanu; z kolei Rosja buduje na dnie Morza Czarnego rurociąg „Południowy Potok” („South Stream”). Kwestia udziału Serbii w rosyjskim projekcie nabrała nowego wymiaru po podpisaniu w styczniu 2008 r. umowy, ma mocy której Gazprom ma przejąć większościowy pakiet udziałów w największym serbskim przedsiębiorstwie naftowym NIS (przyp. red.).

Dla czytelników minibooków:
minibook *Reporterzy [ich świat]* **za darmo!**
Wykorzystaj kod rabatowy: **oytzssmd** na woblink.com



Kod ważny do 30. lipca 2014



Znaki zapytania

audycja dla tych, którzy nie boją się pytać

niedziela, godz. 11.00

1 września • 13 października • 10 listopada • 8 grudnia



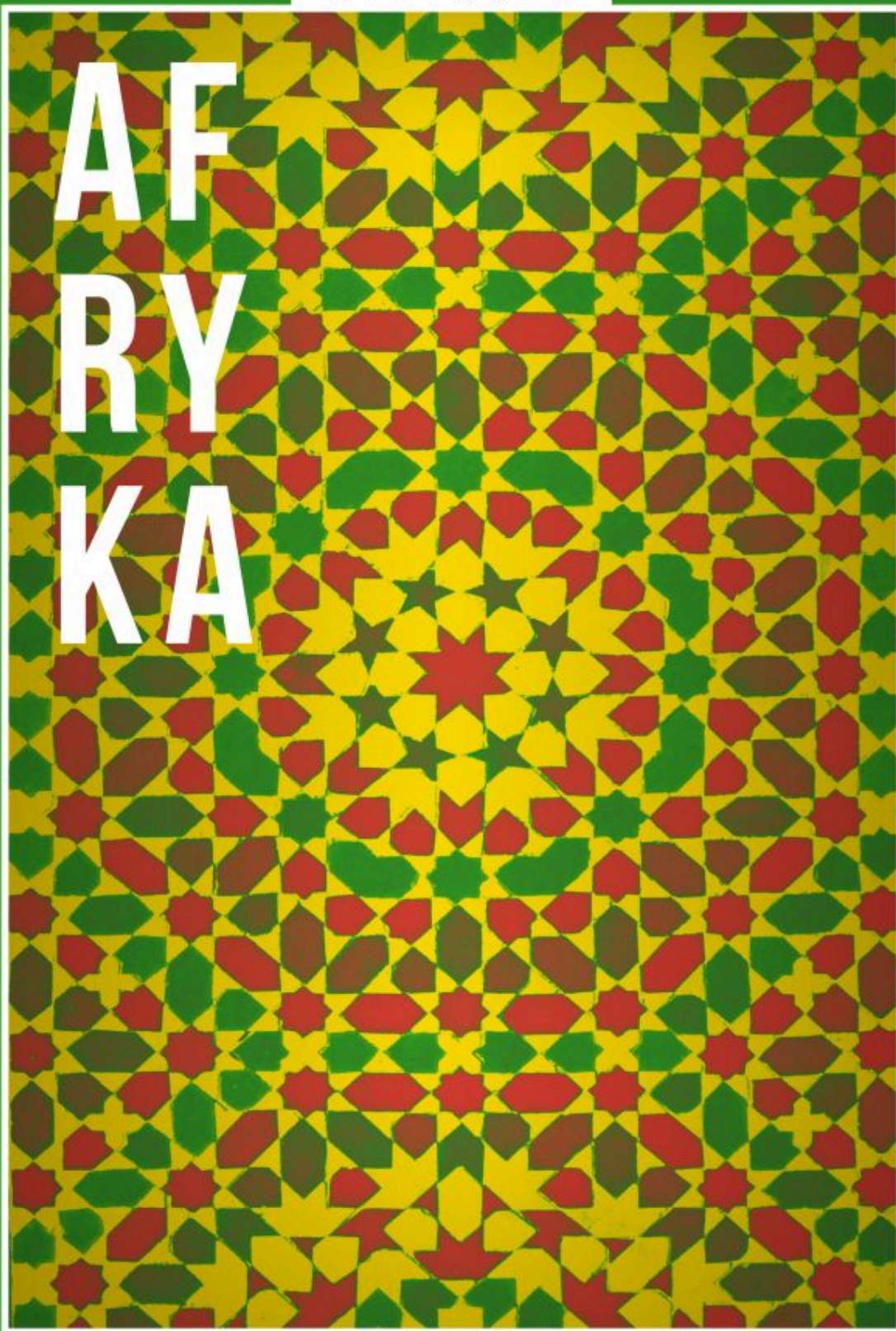
Trójka
POLSKIE RADIO

● trojka.polskieradio.pl

Minibooki „Znaku”

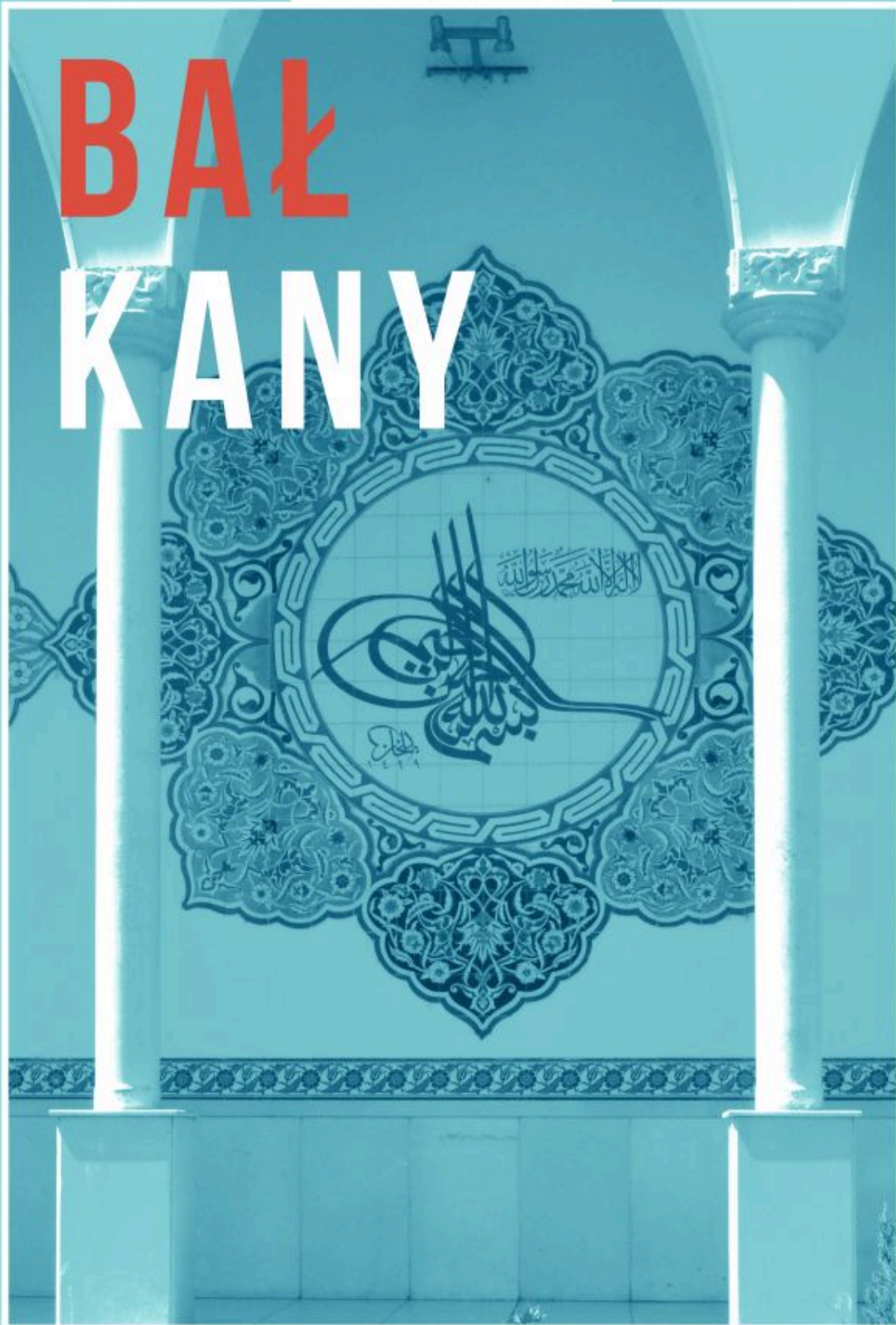
MINIBOOK

AFRYKA



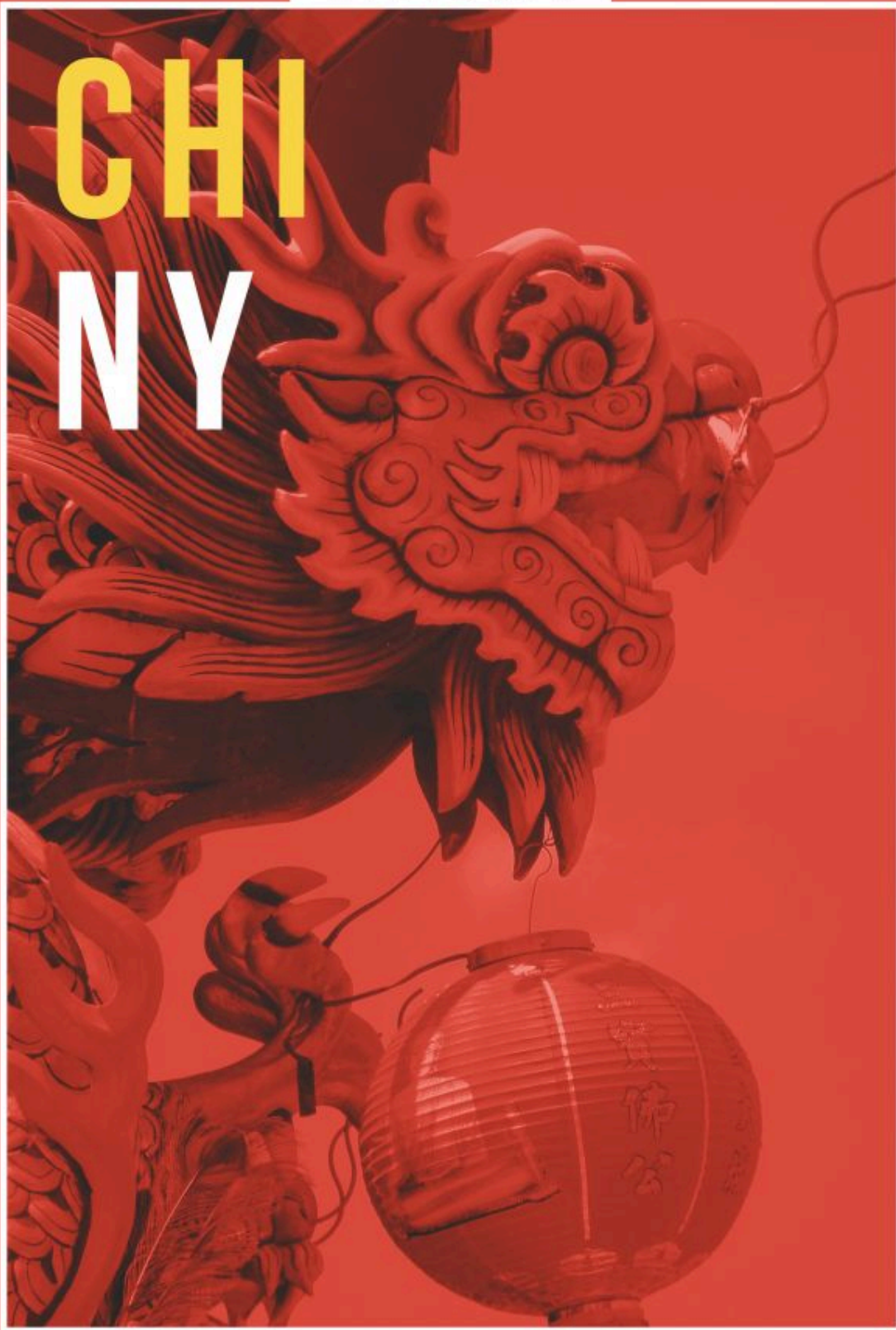
MINIBOOK

BAL KANY



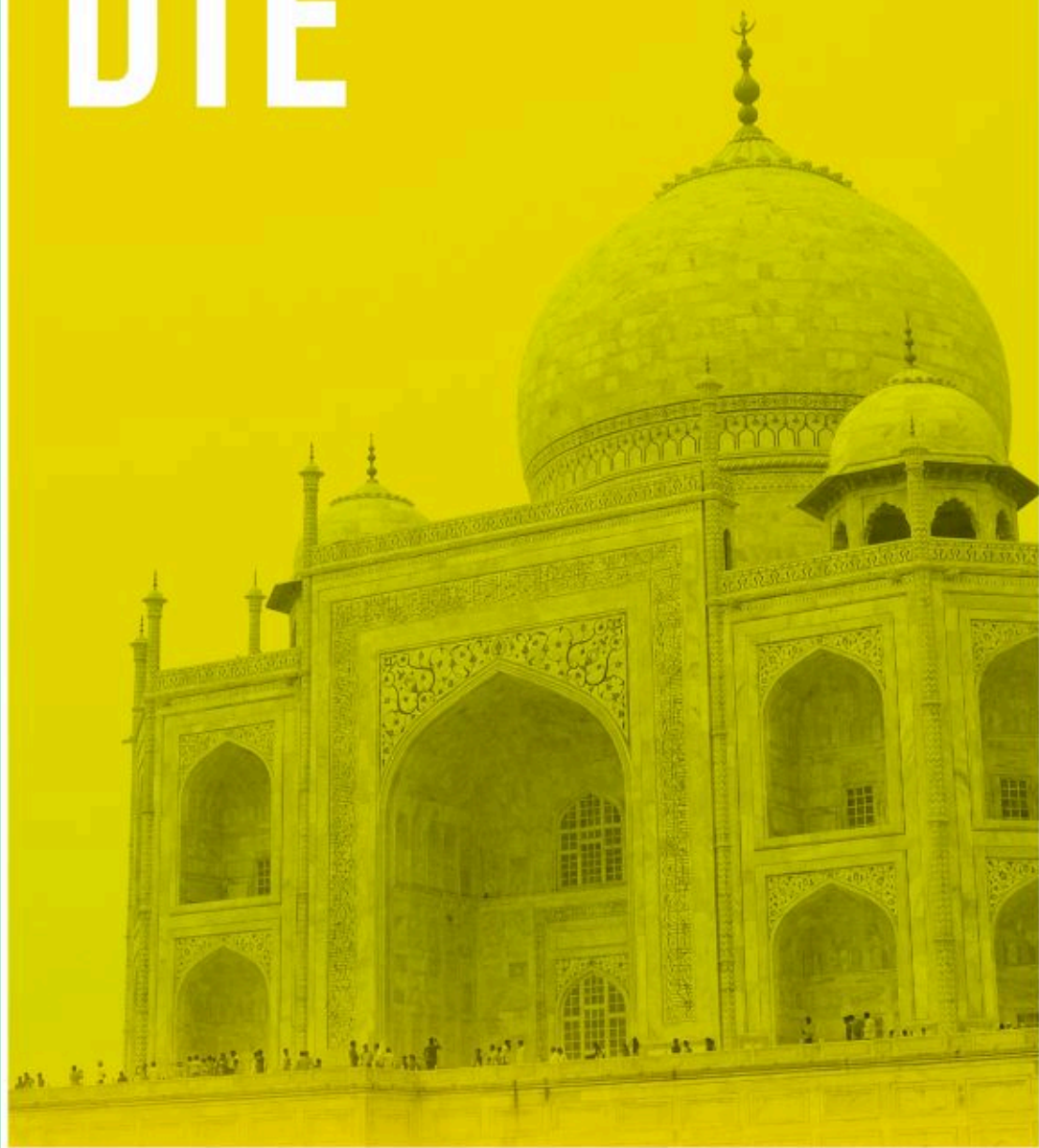
MINIBOOK

CHI NY



MINIBOOK

IN DIE



MINIBOOK

POL SKA WIEŚ



MINIBOOK

MIRCEA

ELIADE

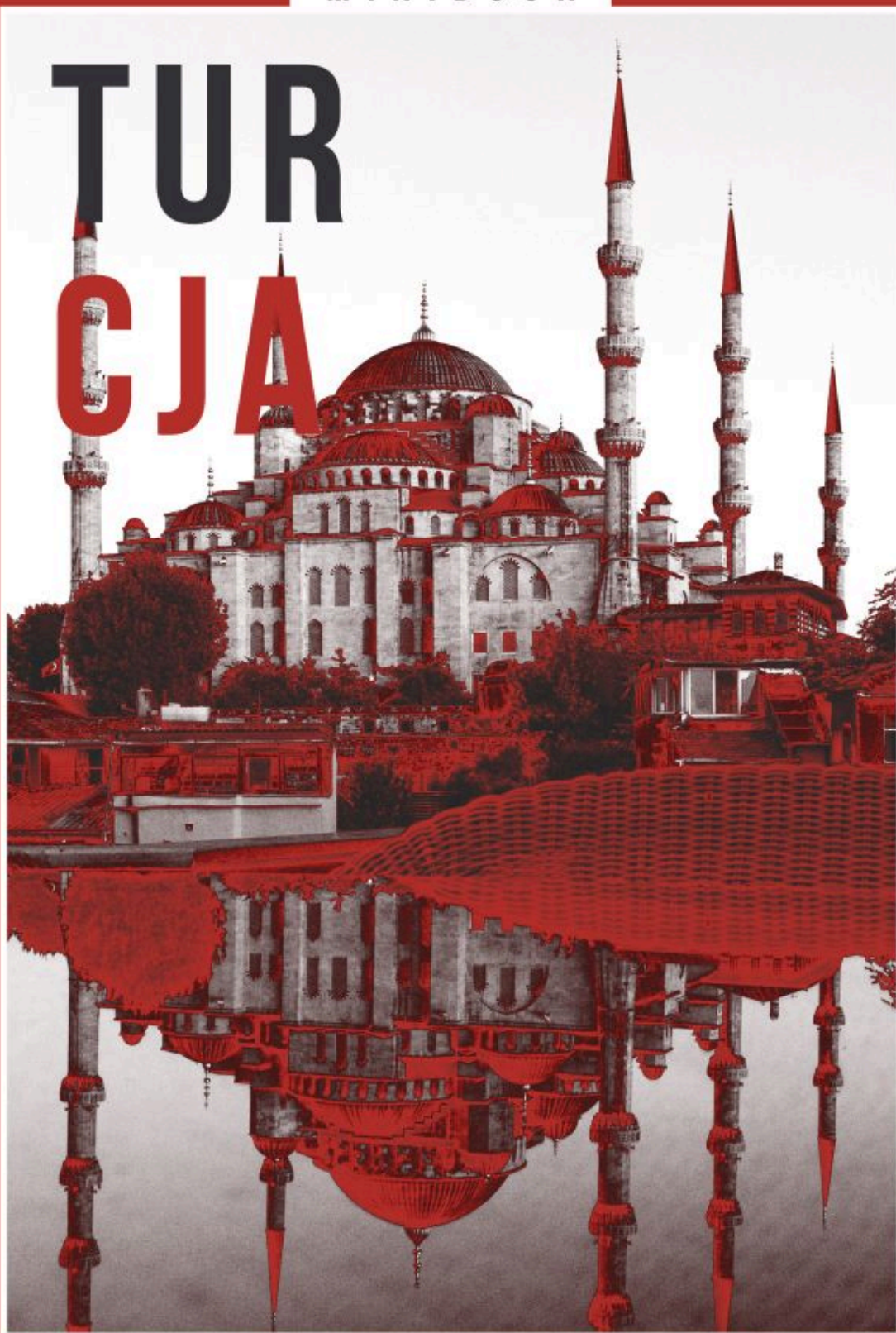
ŚWIAT

MIASTO

DOM

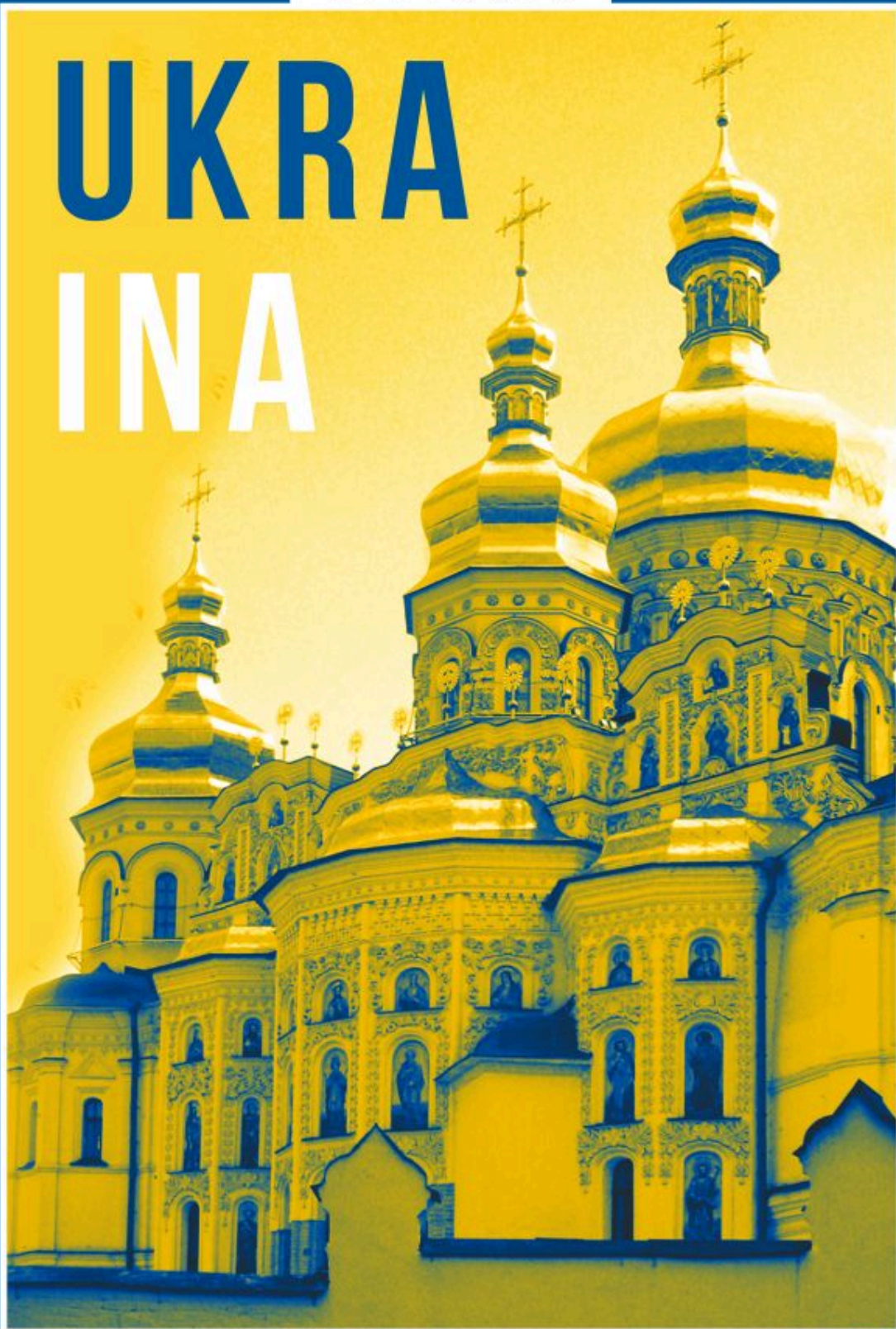
MINIBOOK

TUR CJA



MINIBOOK

UKRA INA



MINIBOOK

(A) TE IZM

MINIBOOK

ŻYDZI-
POLACY:
TRUDNA
TOŻ
SAM
OŚĆ

MINIBOOK

HOMO SEKSU ALIZM

A NAUKA

KOŚ

CIOŁA

MINIBOOK

TRAN SFOR MACJA

PO
POL
SKU

MINIBOOK

MICHAŁ

HELLER

BÓG

FIZY

KÓW

MINIBOOK



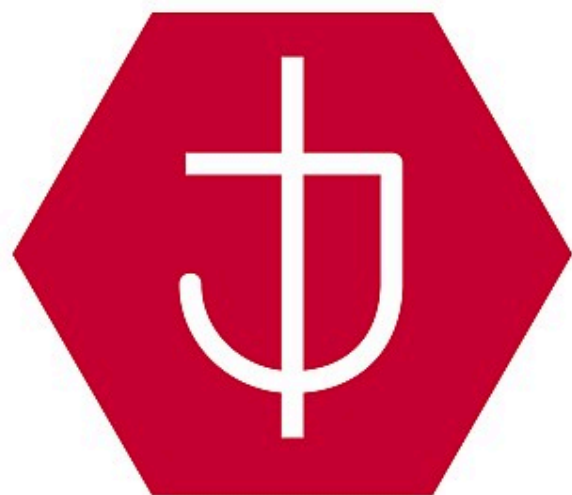
HRYNIEWICZ

część I

- Posłuszeństwo w Kościele
 - Kiedy należy się bać dogmatu i ortodoksji?
- Winy Kościoła a jego wiarygodność
 - Papież Franciszek i zmiany w Kościele XXI wieku

autorytety

MINIBOOK



JEZUS

wiary i historii

- Kim był naprawdę?
- Historia vs. nauka Kościoła
 - Rekonstrukcja sporów o znaczenie Jezusa
- Pytania historyków i biblistów

kontrowersje

MINIBOOK



BŁOŃSKI **krytyczny**

- Jaki jest Polak?
- Historia „nawrócenia”
- Trwanie baroku

Fiut | Jarzębski | Sugiera
Taranczewski | Walas | Wyka

autorytety

MINIBOOK



KANONIZACJA **kim jest święty**

Scheler

Weil

Żychiewicz

Wojtyła

Poniewierski

Puciłowski

MINIBOOK



JAN PAWEŁ II
święty

Bortnowska
Böckenförde
Kołakowski
Mandes
Rogaczewska
Tarnowski

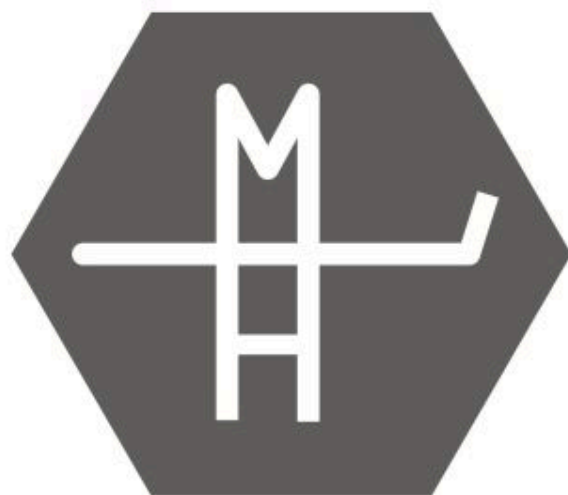
MINIBOOK



WOJTYŁA **filozof**

- Chrześcijanin a kultura
 - Młoda inteligencja
- Natura ludzka a etyka
- Styczeń i Szostkiewicz
o Wojtyle

MINIBOOK



SMOLEŃSK

historia a mit

- Koniec polskiej cywilizacji
- Polska kultura jest katolicka
 - Mitologia smoleńska
 - Filmy o Smoleńsku

Bielik-Robson | Wildstein
Napiórkowski | Przyłipiak

kontrowersje

MINIBOOK



POKUTA

zadośćuczynienie

- Wzór rachunku sumienia
- Spowiedź – walka o niewinność?
 - Medycyna zbawienia
- Dialog między grzesznikami

Grzywocz | Tischner
Ryś | Śliwiński

człowiek

MINIBOOK



TISCHNER

o Polsce

- Chochół sarmackiej melancholii
 - Kot pilnujący myszy
 - Naród i jego prawa
 - Cierpkie winogrona i chytróść rozumu

autorytety

MINIBOOK



NIEŚMIERTELNOŚĆ **wizja czy nauka**

- Dłużej znaczy lepiej?
- Wartościowa śmiertelność
 - Mózg umiera pierwszy
- Aubrey de Grey – адвокат długowieczności

człowiek

MINIBOOK



kultura

Horowitz

Krauze

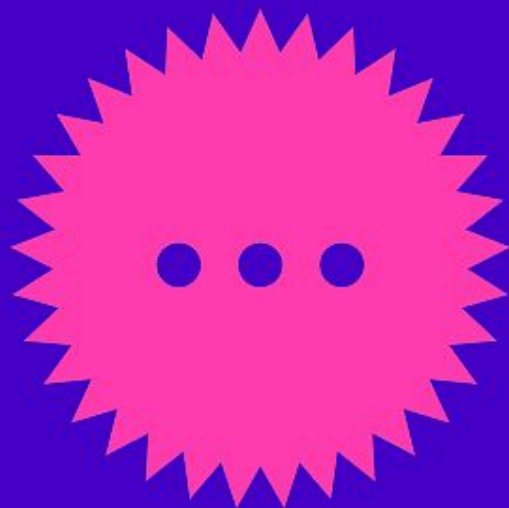
Myśliwski

historie alternatywne

komiks

ZNAKI ROKU 2013

MINIBOOK

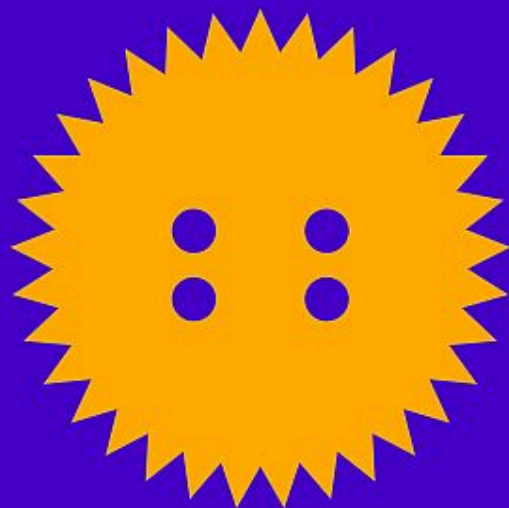


publicystyka

Gadacz
Orbitowski
Orliński
Steele
Wizowska

ZNAKI ROKU 2013

MINIBOOK



rozmowy

Davie
Davies
de Barbaro
Iwanow
Stróżewski
Sulima

ZNAKI ROKU 2013

MINIBOOK



HERBERT

listy nieznane

- Herbert – Brzękowski: Listy
- Dariusz Pachocki „Nie chciałem być emigrantem”
- Dodatek specjalny: „Odpisz Herbertowi” – najlepsze prace uczestników konkursu

ZNAK⁷⁰⁰
WARSZAWA

autorytety

MINIBOOK



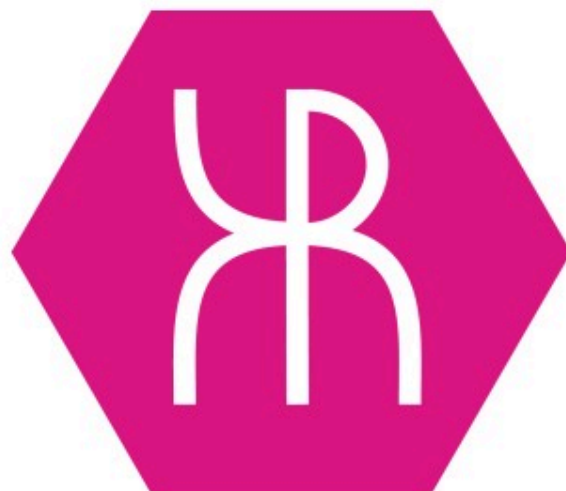
NARKOTYKI vs dusza

Dobroczyński
Krajewski
Osiatyński
Siemienowicz
Woydyłło
Vetulani

ZNAK⁷⁰⁰
MIĘDZYSZCZAK

kontrowersje

MINIBOOK



KOBIETY vs religie

- Nadgryziona jabłka
- Emancypacja bez korzeni
 - Lwice się budzą
- Młode muzułmanki w Wielkiej Brytanii
 - Exodus

ZNAK 700
MINIBOOK

kontrowersje

MINIBOOK



CIAŁO **bóg czy wróg**

Dobroczyński
Drenda
Michalski
Pilorz
Skrzydłowska-Kalukin
Tischner

ZNAK 700
MINIBOOK

człowiek

MINIBOOK



BAUMAN

ponowoczesność

- Nowoczesna obietnica wygody
 - Duch i ciało na rynku – duchowość na sprzedaż
 - 10,780,000,000 wyników w 0,21 sekundy

ZNAK[®] 700
MIĘDZYNARODOWY

autorytety

MINIBOOK



ŁĘKI **naszych czasów**

Dobroczyński
Drenda
Gadacz
Kępiński
Mikołejko
Szczęch
Zdanowska

ZNAK[®] 700
MINIBOOK

człowiek

MINIBOOK



ZŁO **dłaczego**

Tischner
Filek
Herbert
Lem
Vetulani

ZNAK 700
MINISYMION

człowiek

MINIBOOK



MIŁOŚĆ ale jaka

Hryniewicz
Gadacz
Chmielewska
Ochojska
Vanier

ZNAK 700
MINIBOOK

człowiek

MINIBOOK



REPORTERZY ich świat

Jagielski
Szejnert
Muszyński
Kapuściński

ZNAK 700
MINIBOOK

autorytety

MINIBOOK



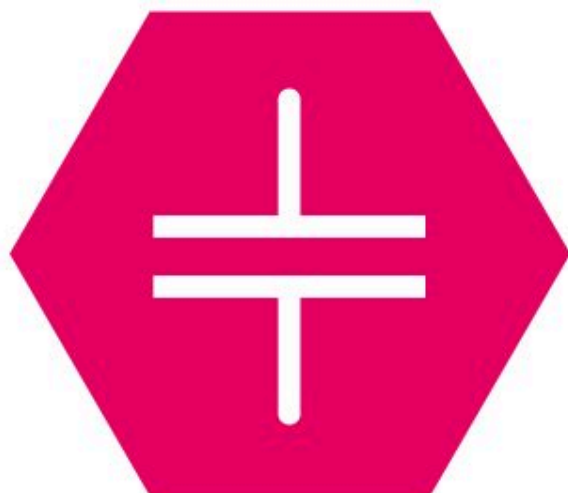
BIBLIA vs tłumacze

- Jak przekłady zmieniają Biblię?
- Jak ideologie wpływają na tłumaczenie?
- Co Bóg naprawdę miał na myśli?

ZNAK 700
MISIJSKIM

kontrowersje

MINIBOOK



TABU Polaków

- Po co nam Gross?
- Homoseksualista idzie do nieba
 - Kapłaństwo kobiet
 - Wszyscy jesteśmy chłopami
- Polska przeprosza za powieść

ZNAK 700
MINISOCINIA

kontrowersje

MINIBOOK



WOLNOŚĆ

po co

Tischner
Kisielewski
Jedlicki
Kłoczowski
Tarnowski

ZNAK⁷⁰⁰
MINIBOOK

człowiek

MINIBOOK



TISCHNER

klasyka

- Myślenie według wartości
 - Ludzie z kryjówek
- Boski rodowód wolności
 - Kościół łaski
- Podglądanie Pana Boga

ZNAK 700
MISIOGOSIOM

autorytety

MINIBOOK



KOŁAKOWSKI

pytania

- O przemocy
- Uwaga o modernizmie
 - Prawda i wolność,
co pierwsze?
- Gdzie jest miejsce dzieci
w filozofii liberalnej?

ZNAK 700
MINIBOOK

autorytety

